










# KSIEŻNA LUBOMIRSKA

CZYLI

Cudowny los Sieroty Polskiej

 309 <sup>W</sup> H

PARYŻU.

F. D. R. R.  
CZYTELNIA POLSKA  
POLISH LIBRARY  
w Manchester, N. H.



CHICAGO, ILLINOIS.

Drukarnia J. F. SMULSKIEGO I SP., 565 Noble Street.

1901.



254950



Było to w miesiącu Czerwcu roku 1793, gdy księżna Franciszka Lubomirska siedziała, otoczona gronem przyjaciół, w swym wytwornie urządzonej salonie, na przedmieściu Saint-Germain w Paryżu i zajęta była przyrządzaniem herbaty. W srebrnym samowarze słychać było ów szum przyjazny, który, szczególnie podczas zimy, tak jest miłym dla ucha, kiedy na dworze wiatr północny świszcze, a śnieg i grad z trzaskiem w okna uderza. Wtenczas podwójnie przyjemnym zdaje się ów spokój w ciepłym salonie, oświetlonym jasnymi promieniami lampy, przy stoliku, na którym warzy się herbata i wesołe kółko znajomych bawi się miłą pogadanką.

Na ulicach Paryża nie huczał wprawdzie wiatr północny, gdyż to był piękny wieczór czerwcowy, a letni wietrzyk zachodni, napełniony balsamicznymi woniami ziół i kwiatów, zawiewał z lekka przez otwarte okna salonu, wychodzące na ogród. Ale inna burza unosiła się nad przeleknionem miastem; burza, którą ludzie samochcąc wzniecili; tem okro-

pniejsza, iż jej granic ani końca przewidyć nie można było. Była to burza rewolucyi, która z wszystkimi swemi okropnościami wrzała nad głowami drżącej ludności i już wielu mieszkańców Paryża pochłoneła w swym wirze.

Powszechna trwoga opanowała była wszystkie umysły; lecz chociaż każdy zajęty był jedynie zdarzeniami codziennymi i z niespokojnością dnia nadchodzącego oczekiwał, nikt jednakże nie śmiał mówić głośno o polityce, o nadziejach i obawach przyszłości, bo wszędzie czatowały szpiegi groźnych władców i już niejednen przypłacił życiem nierozważnie wymówione słowo.

Więc też i przy stoliku młodej księżnej Lubomirskiej toczyła się z cicha rozmowa i niejedno oko zwracało się lękliwie ku otwartym oknom, jakby się obawiało spostrzedz tam niebezpiecznego słuchacza. Księżna oddaliła służących, by nie przeszkadzali rozmowie, tylko bona jej pięcioletniej córeczki Rozalii została była w salonie. Do tej miała księżna zupełne zaufanie, gdyż była Polką, dawno już w jej służbie i z przywiązania tylko towarzyszyła jej do Paryża. Re-



sza jej służby byli Francuzi, a tych starała się ile możności oddalać z salonu dzieląc podejrzenia swych znajomych i przyjaciół.

Girondziści zrzuceni, — rzekł jeden z przytomnych panów w podeszłym wieku z wyrazem przestachu na twarzy, — czegoż doczekamy się jeszcze? Nic już teraz nie stoi na przeszkodzie terrorystom, którzy wkrótce ster rządu owładną! Wtenczas biada wszystkim stronnikom pokoju i ładu, bo lubić pokój i chcieć porządku, jest to już zbrodnią w oczach tych potworów. Ja już poczyniłem moje przygotowania do podróży i tej nocy opuszczam Paryż, gdzie odtąd żaden uczciwy człowiek, a przedewszystkiem żaden szlachcic nie będzie pewien swego życia. Przybyłem tu tylko, by cię droga księżno zobaczyć raz jeszcze i pożegnać może na bardzo długo.

Z wzruszeniem podała Franciszka Lubomirska rękę starcowi, który był jej wiernym przyjacielem i doradcą i rzekła smutnie, obracając się do innych gości: — Jakże samotną zostanę tutaj, gdy mnie tak jedni po drugich opuszczają dziecię!

— Czy pani nie zamysłasz także opuścić tego rozhukanego Paryża? — zapytał markiz P.... Byłoby bez wątpienia lepiej, gdybyś pani powróciła do swej ojczyzny, bo tu wkrótce nikt nie będzie mógł żyć bezpiecznym.

— Ja jestem cudzoziemką i bawię tutaj jedynie dla wychowania mojej córki — odpowiedziała księżna, wskazując na pięcioletnią Rozalię, która w kąciku salonu bawiła się z lalką.

— W kimże mogłabym ja wzbudzić podejrzenie? Cóżby mogło tych krwi chciwych ludzi przywieść do tego, by mieli zaczepić osobę, bez wszelkich związków politycznych, żyję tylko tutaj dla wykształcenia swego dziecięcia? Lub jakież zysk mogła by przynieść śmierć moja tym harpijom zgłodniałym, kiedy cały mój majątek w Polsce się znajduje?

Z przestraczem spojrzeli na siebie goście, na te dość śmiało i głośno wymówione słowa młodej księżnej, ale w salonie nie było nikogo obcego prócz Kasi, a księżna spostrzegając wzrok swych przyjaciół z obawą na też zwrócony, dodała z uśmiechem:

— Ta dziewczyna szczerą jak złoto.

Zaspokojony tem markiz P.... mówił dalej: Rózia jest jeszcze tak młodą, iż przerwa w naukach nie przyniesie jej żadnego uszczerbku. Rozważ tylko pani, że sama znajomość z ludźmi wyższego ukształcenia, może ci zaszkodzić w oczach nowego rządu.

Franciszka odpowiedziała na to z uśmiechem: — Nie mogłam przecież zabierać znajomości z przekupkami z Palais-Royal, jak to niektórzy z przesadzonego strachu uczynili. Czy podobno, aby mi kto mógł to za zbrodnię poczytać, iż szukałam znajomości pomiędzy osobami towarzystwa, do którego od dzieciństwa jestem przywykłą?.... O uspokójcie się, moi przyjaciele, — mówiła dalej, — bądźcie pewni, że będę ostrożną w mowie i uczynkach, a gdyby doprawdy miało stać się tak niebezpiecznie w Paryżu, opuszczę go niezawodnie.

Następującego wieczora brakowało znowu kilku osób przy poufałym stoliku z herbatą, w salonie księżnej Lubomirskiej, którzy opuścili Paryż, aby do niego nie powrócić więcej; a znajdujący się tam jeszcze byli przejęci smutkiem i boleścią,

bo niepewność, czy przyjaciele dostaną się szczęśliwie do granicy, gdy tak łatwo najmniejsza nieostrożność mogła ich być wydać w ręce krwi chciwych okrutników, napełniała ich serca trwogą i przerażeniem; zwłaszcza, iż najokropniejsze kary były przeznaczone tym, którzy na drodze do Niemiec schwytani zostali.

Obawa więc tych kar, również jak i miłość ojczyzny, wstrzymywała dotychczas niejednego z szlachty francuzkiej od połączenia się ze zgromadzającymi się nad Renem wychodźcami (emigrantami). Ale w przeciągu dnia tego zostało tyle osób uwiezionych na rozkaz nowych władców, że już prawie nikt z wyższego towarzystwa nie czuł się bezpiecznym w Paryżu; więc i tego wieczora pożegnało się smutnie i na długo z księżną wiele osób z jej znajomości.

Trzeciego wieczora było już w salonie prawie pusto: a księżna zaczęła rozważać nad tem, czyby i dla niej nie było stosowniej opuścić ten Paryż, gdzie się już i najszlachetniejsi ludzie nie czuli bezpiecznymi i gdzie nawet z cudzoziemcami zaczynało obchodzić się z nieznanym dotąd okrucieństwem.



Po oddaleniu się kilku pozostałych jeszcze znajomych, Franciszka wzięła na łono swoją małą Rozalię a głaszcząc złote sploty dziewczynki, rzekła z czułością: — Rózia, wkrótce wrócimy do Polski; czy cieszysz się na zobaczenie dziadka i wujaszka?

— O cieszę się, droga mamó, zawołała dziewczynka, — dziadek daje mi zawsze tak dobre cukierki, a wujaszek opowiada takie ładne powiastki.

Kasia słysząc tę rozmowę, zbladła jak cień i łzy stanęły jej w oczach. Księżna spostrzegła to wzruszenie bony swojego dziecka, i rzekła z podziwieniem:

— Więc ty nie masz ochoty powrócić do Polski, moja Kasiu?

— Ja wszędzie ochotnie pójdę za tobą Pani, — odpowiedziała Kasia z widocznym przewyciężeniem, — ale w Paryżu tak pięknie i czegóżbyśmy się tu obawiać miały? Polacy z Francuzami byli przecież zawsze w zgodzie.

— No, tak prędko nie pojedziemy też jeszcze, — rzekła Franciszka z dobrocią; — bo chociaż kocham moją ojczyznę nad wszystko, chciałabym pomimo tego zostać jak najdłużej w Paryżu, gdyż w

Warszawie nie dobioreę nigdy tak dobrych nauczycieli dla mojej Rózi, jak tutaj. Ale teraz połów dziecinę w łóżeczko, bo widzisz, że stanęła na kobiercu.

Nazajutrz rano około południa księżna znajdowała się w swoim pokoju przy gotowalni; Rózia, która była niedawno przysłała z swoją boną, bawiła się z rozłożonemi na stole klejnotami swej matki, gdy w tem dał się słyszeć w przedpokoju szczęk broni i ciężkie stąpanie żołnierzy.

— Mój Boże, cóż to znaczy? — zawołała blednąc księżna Lubomirska. — Kasiu zarygluj drzwi. — Ale zanim dziewczyna zdołała wypełnić rozkaz swej pani, Lafleur, pierwszy służący księżnej, otworzył drzwi i kilku żołnierzy gwardyi narodowej weszło z hałasem do pokoju.

— Pani, — rzekł podoficer idący na czele, obracając się do księżnej, — jesteś naszym więźniem i będziesz nam towarzyszyć do Conciergerie.\*)

Księżna Lubomirska, która prędko przysłała do siebie z pierwszego przestra-

---

\*) Więzienie, w którym osadzano podejrzanych podczas rewolucyi.

szenia, powstała dumnie z krzesła i rzekła z powagą:

— Mój panie, tu musi zachodzić jakieś nieporozumienie; ja nie mam sobie żadnego występkę do zarzucenia, jestem cudzoziemką, która nie ma najmniejszych związków politycznych. Pan mylisz się z pewnością.....

Podoficer spojrział na nią z niejakim wahaniem i rzekł powoli: — Pani się nazywasz księżna Franciszka Lubomirska?

— Tak samo.

— Więc nie masz tu żadnej pomyłki, — rzekł: — pani jesteś uwieczoną.

— Ale o jakież występek obwiniają mnie? Cóż mają mi do zarzucenia? — zawołała księżna z żywością.

— Nie należy to do nas objaśniać panią w tych rzeczach — rzekł podoficer; — ale kiedy pani tego wymagasz, mogę powiedzieć co słyshałem nawiasem. Jesteś pani oskarżoną, iż szkalowałaś konwent narodowy, nazywając jego członków „harpijami krwi chciwemi“.

Księżna spojrziała na niego z podziwieniem i zdawała się szukać w swej pamięci, gdzie i kiedy wymknęły jej się te

słowa. W tem Kasia, drżąca, blada i łzami zalana, rzuciła się jej do nóg, wołając z rozpaczą: — Zdepc pani robaka, który się czołga u nóg twoich, ja to ta niegodna, zdradziłam panią!

— Ty Kasiu! — zawołała księżna w najwyższem zdumieniu; — ty, któraś mi zawsze tyle okazywała przywiązania.

— O! ja cię kocham pani i chciałybym z tobą wszelką nędzę, śmierć nawet podzielać i nie zdradziłam cię umyślnie ani przez niewiarę! Moje niedoświadczenie, moja łatwowierność, były w najniegodziwszy sposób nadużyte. Służący Lafleur, który pani tyle uległości zawsze okazywał, starał się pod różnemi pozory wybadać ze mnie, co mówiono w salonie, gdyś pani oddaliła służących. On to ten niegodziwy człowiek, doniósł słowa pani rządowi, a ja stałam się niewinnie przyczyną twej zguby.

— Dość tych słów i łez! — rzekł gwardzista narodowy; pojazd czeka na dole, chodź pani z nami!

— Więc i ja pójdę z wami! — wołała Katarzyna podnosząc się z ziemi; — nic nie zdoła rozłączyć mnie z mą panią!

— Towarzystwo sług jest zakaza-



nem,—rzekł zimo gwardzista. Chodźmy!

— Lecz mojego dziecka nie zabronicie mi przecież wziąć ze sobą, — rzekła księżna, biorąc za rękę małą Rozalię; — bez niej nie postąpię ani kroku.

Podoficer spojrział na swój rozkaz na piśmie i mruknął półgłosem: — O dzieciach nie ma wzmianki, nie jest więc przeciw rozkazowi, choć ta mała pójdzie z nami. — Potem obracając się do księżnej, dodał: — Przystaję na to, zabierz pani swoje dziecko; a teraz naprzód.

Kasia załamywała ręce w rozpacz i czepiała się sukien księżnej i Rozalii; która widząc swą bonę tak gwałtownie wzruszoną, także rzewnie płakać zaczęła.

— O ty niewinny aniele! proś za mną twej mamy, — wołała Kasia, — aby mi przebaczyła, bym na doczesne i wieczne katusze skazaną nie była.

— Ja się nie gniewam na ciebie Kasiu, — rzekła księżna, obracając się do niej z dobrocią; — kto zgrzeszył przez niewiadomość, może się spodziewać przebaczenia. Bóg nie wypuści nas z swojej opieki.

Gdy wyszli, Katarzyna stała przez niejaki czas w niemem osłupieniu z obłą-

kanemi oczyma, potem jakby się nagle ze snu obudziła, rzekła do siebie:

— Nie, ten zdrajca nie zbierze nagrody za swój czyn haniebnny; — i zgarńawszy spieszno porozkładane na stole klejnoty, zamknęła je w pudełku stojącym obok nich i schowała pod szal, w którym się otuliła. Potem wybiegła spiesznie bocznymi drzwiami z pałacu.

Księżna Franciszka z córką zeszła tymczasem w milczeniu z swymi przewodnikami na ulicę. Tu wsadzono ją do najętego pojazdu; podoficer usiadł przy niej, dwóch gwardzistów zabrało miejsce na koźle i tak ruszono spiesznie przez ulice Paryża, gdzie tłumy wzburzonego ludu cisnęły się, wydając dzikie okrzyki.

— Gdzież to jadą z nami? — zapytała mała Rozalia — i czemu nie jedziemy w naszym własnym pojeździe?

— Jedziemy na miejsce, gdzie może znajdziemy znajomych i nie pobawimy długo, — odpowiedziała jej matka z ściśniętym sercem.

Przybywszy do Conciergerie, uwięziona wprowadzoną została do małej ciemnej izdebki, w której się już kilka niewiast znajdowało.

— Czy nie mogłabym dostać jakiego miejsca, gdziebym sama z mą córką zostawała? — zapytała księżna dozórcy więzienia.

Ten spojrział na nią z podziwieniem i rzekł śmiejąc się:

— Ciesz się pani, iż jesteś umieszczoną z tak mało osobami. Więzienia tak są przepełnione, że już inne publiczne budynki muszą być na ten cel obracane; a jeżeli tak dalej pójdzie, to będzie jeszcze potrzeba domów prywatnych używać do tego. Gilotyna zabiera wprawdzie codziennie tysiące ofiar, lecz nie można jednak tak prędko ścinać jak więzić.

Księżna zadrżała na te słowa, lecz uspokoiła się prędko, bo cóż ona miała sobie do zarzucenia, będąc cudzoziemką i nie mieszając się nigdy do spraw politycznych? Te kilka słów, myślała sobie, które w ów wieczór wymówiła a które sobie zaledwo przypomniała, nie mogły ją wtrącić w żadne niebezpieczeństwo, bo któżby mógł być tak okrutnym, by życie odbierał za słowa?

Nabrawszy więc odwagi, wstąpiła

śmiało na miejsce swego nowego pobytu, pełna nadziei, iż je wkrótce opuści.

Nieszczęsna! Jakże źle znała władców ówczesnych, kiedy miała jeszcze wiarę w sprawiedliwość i łagodność, w prawo narodowości i własności!!

W więzieniu znalazła księżna kilka dam z wysokiego urodzenia, z którymi dawniej widywała się często w świetnych zgromadzeniach Paryża i które teraz, równie jak ona, nie czując się winnymi, wyglądały codziennie swego oswobodzenia. Powitały one serdecznie nową współniczkę niedoli; a dla niej było to wielką pociechą, iż przynajmniej nie między złoczyńców i zbrodniarzy umieszczoną została. Nie przeczuwała ona, że tam, gdzie władza jest w ręku szalonych terrorystów, złoczyńca pozostaje bezkarny, a prawdziwy patriota i człowiek szlachetny umiera w rękach kata.

Pomiędzy współniczkami niedoli polubiła księżna Lubomirska najbardziej młodą markizowę de Tressan, której umysł wykształcony i serce pełne czułości, wzbudziły w niej serdeczne przywiązanie. Pani Tressan straciła męża na rusztowaniu, gdyż z całym zapałem szla-



chetnego serca poświęcał on się był sprawie nieszczęśliwego Ludwika XVI. Dla siebie spodziewała się oswobodzenia, bo kilku znakomitych mężów, mających znaczny wpływ w konwencie narodowym, przyobiecało jej wstawić się za nią.

— Gdy będę mogła opuścić ten pobyt okropny, — mówiła raz jednego do księżnej, — wtenczas udam się do moich rodziców, którzy mieszkają blisko granicy hiszpańskiej. Okrucieństwa rewolucyi nie dosięgły zapewne owych cichych dolin wśród gór pirenejskich, a w przeciwnym nawet razie, łatwo ztamtąd ukryć się przed niemi za granicę. — Franciszka słuchała uważnie słów przyjaciółki, a potem jakby przeczuciem natchniona, rzekła: — O droga przyjaciółko! przyrzecz mi, że gdyby jakie nieszczęście spotkać mnie miało, weźmiesz wtenczas moją Rozalię ze sobą i zastąpisz jej miejsce matki!

Pani Tressan spojrzała z podziwieniem na wzruszoną księżną i zawołała: — Jakież dziwne przeczucia dręczą cię! Czyż podobno, by ciebie, cudzoziemkę, która nigdy nie mieszałaś się do spraw

politycznych, mogło jakie spotkać nie-szczęście? Jestto zapewne jakieś niepo-rozumienie, przez które dostałaś się tutaj i musi ono wyjaśnić się wkrótce.

— Ja także rozumiałam tak z począ-tku, odpowiedziała księżna z boleścią, — ale dzień za dniem uchodzi, a ja napró-żno uwolnienia wyglądam, więc czasem przestrah jakiś mimowolny, którego przytłumić nie mogę, ogarnia mą duszę!

— Bądź przekonaną, — odpowiedzia-ła markizowa, — że jeżeli Bóg oswobodzi mnie prędzej niż ciebie, Rozalia znajdzie we mnie drugą matkę.

— Mój brat, hrabia R. . . . , — mówi-ła dalej Franciszka, — mieszka niedale-ko Warszawy; gdyby miała się spełnić okropna ostateczność, wtenczas donieś mu o tem, a on będzie ojcem mojej Ro-zalii.

— Wszystko stanie się, jak sobie ży-czysz, — odpowiedziała markizowa, — lecz oddal od siebie te okropne przeczu-cia, które się nigdy nie spełnią.

Księżna westchnęła i umilkła, ale Rozalia, która przysłuchiwała się cieka-wie tej rozmowie, chociaż właściwego znaczenia słów tych pojąć nie mogła, rze-

kła z zadziwieniem i smutkiem: — Mamo, ty mnie chcesz opuścić, a ja mam pozostać sama w tem straszliwym mieszkaniu?

— Będę może zmuszoną odjechać na niejaki czas, — odpowiedziała matka z udaną spokojnością, — w tym razie zostałaabyś tutaj przy tej dobrej pani, która cię tak kocha, że chce być twoją drugą matką.

— Matką? — spytała dziewczynka, — czyż to można mieć dwie matki?

— Ty masz panią Tressan tylko w mojej niebytności uważać i kochać jak matkę, — odpowiedziała księżna tłumiąc łzy, które gwałtownie cisnęły jej się do oczu — i masz jej być posłuszną, jak byłaś zawsze dla mnie. To obiecujesz mi chętnie, nieprawdaż?

— Obiecuję, droga mamo, — rzekła Rózia, — lecz wszak ty nie zabawisz tam długo i przyślesz do mnie Kasie, żeby przy mnie czuwała, jak wówczas, gdy odjeżdżałaś na teatr lub bale?

Przykre uczucie ścisnęło serce księżnej na wspomnienie owej fałszywej i lekkomyślnej dziewczyny, której ona zawierzała tak wiele, a przypomnienie

szczęśliwej i wesołej przeszłości, która niestety! może się już nigdy dla niej powrócić nie miała, napełniło smutkiem jej duszę. Lecz starała się stłumić te uczucia i rzekła:

— Kasia nie może przybyć do ciebie, bo ona powróciła do Polski, naszej lubej ojczyzny; lecz nieprawdaż, drogie dziecko, ty zostaniesz chętnie sama z naszą kochaną panią Markizową?

— Zostanę, droga mamó, — rzekła smutnie Rózia, a z jej niebieskich ocząt potoczył się łez strumień. — Lecz kiedyż zamierzasz mnie opuścić?

— Może wkrótce, — odpowiedziała księżna, ściskając czule w swych objęciach miłą dziecinę. — Lecz nie płacz tak bardzo moja Róziu, nie jestto jeszcze nic pewnego. Może nie będę potrzebowała wcale udać się w tę daleką podróż, z której nie wróciłabym może tak prędko.

— O więc zostań, droga mamó, — prosiło dziecko, a objawszy rączkami szyję kochanej matki, znękane płaczem, zasnęło wkrótce na jej łonie.

Biedni więźniowie nie bez przyczyny lękali się o swe życie, bo coraz bardziej zbliżał się czas najokropniejszych bezpra-



wi, najnieubłagańszego okrucieństwa. Robespierre, który dotąd przewodził w klubie Jakóbinów, osiągnął najwyższą władzę, a z nim Saint Just i Couthon, którzy przewyższali najzagorzalszych rewolucjonistów w oskarżaniu i posądzeniu niewinnych. Cnota i poczciwość były to ich ulubione wyrazy, lecz przez swoje czyny szydzili z nich najstraszliwiej. Przez postrach chciał Robespierre zagarnąć najwyższą władzę, a dla tego systemu poświęcał tysiące ofiar. Więzienia napełniały się codziennie nowymi mieszkańcami, bo nawet ubiór porządny wzbudzał podejrzenie, a kto go nosił, był oskarżony o arystokrację. Codziennie wleczono po kilkudziesiąt z tych nieszczęśliwych przed trybunał rewolucyjny, a ztamtąd prosto na rusztowanie. Liczba traconych tak była wielką, że giloty-  
na musiała być przeniesioną z placu rewolucyi na plac Greve, gdyż bruk tak był ślizgim od krwi, iż kat nie mógł się utrzymać na nogach.

I do więzienia, w którem siedziała księżna Lubomirska, dochodziły te straszliwe wieści i napełniały dusze więźniów przestrawem i zgrozą. Z nieszczę-

snych współników niedoli, powołanych przed sąd krwawy, nie wrócił wprawdzie żaden, by im te wieści ogłosić, bo każdy od trybunału był prosto na rusztowanie wiedziony, lecz dozorca więzienia czuli szatańską uciechę, malować te okropne obrazy przestraszonym więźniom, dając im przez to do zrozumienia, że i dla nich wybije niedługo godzina śmierci.

Ponure poddanie się, owładnęło prawie wszystkie umysły; a gdy dnia 16 października upadła pod gilotyną głowa pięknej Maryi Antoniny, wtenczas z prawdziwą pogardą śmierci oczekiwali wszyscy podobnego losu.

— Któżby jeszcze mógł życzyć sobie żyć dłużej, — mówiły szlachetne niewiasty francuzkie, — kiedy co najwznioślejszego i najlepszego zginęło z rąk kata? Któżby mógł skarżyć się i narzekać, kiedy sama cnota głowę swą pod gilotynę nachyla. — Więc i nasza Lubomirska oczekiwała swej śmierci z poddaniem się woli Bożej i tylko los Rozalii napełniał serce jej niezmierną boleścią. Jedyną jej pociechą było, że pani Tressan ciągle jeszcze nie traciła nadziei uwolnienia swego; a mając przez to niejakię zapew-

nienie losu swojego dziecka, usłyszała z odwagą swoje imię wymienione na liście tych, którzy przed krwawy trybunał stać się mieli. Tajemna nadzieja ożywiła ją może jeszcze, że sędziowie nie będą mogli znaleźć tam winy, gdzie jej wcale nie było. Lecz wtenczas okrucieństwo do takiego doszło było stopnia, że tylko imiona podejrzanych przeczytano; a ci byli bez najmniejszej obrony za winnych uznani i osądzeni.

— Gdzież to idziesz mamó? — zawołała Rozalia, ujrawszy wchodzących gwardzistów narodowych i słysząc ich wymawiających nazwisko swej matki. — Zabierz mnie też ze sobą, zabierz mnie, proszę cię!

— Moje drogie dziecko, — zawołała księżna, ściskając ją w swych objęciach; — dzisiaj nie mogę cię zabrać, lecz powrócę wkrótce, a potem oddalimy się razem z tych miejsc okropnych, gdzieśmy tak długo więzionemi były, bądź tylko grzeczną i spokojną.

Potem oddała ją w ręce pani Tresan, mówiąc ze łkaniem:

— Patrz, oto twoja dobrodziejka, która się będzie opiekowała tobą, dopó-

kąd ja nie powrócę. Lecz teraz puść mnie; widzisz, ci panowie nie cierpliwią się.

W istocie kilka głosów odezwało się ostro:

— *Marchez Madame!* Mamy więcej do czynienia i nie mamy czasu przypatrywać się tym scenom pożegnawczym.

Księżna chciała wyjść, lecz Rozalia uchwyciła się z płaczem kroju jej sukni i nie chciała puścić kochanej matki. Dopiero gdy na jej skinienie pani Tressan przystąpiła i odciągnęła rączki nieszczęsnego dziecięcia, opuściła księżna wraz z innymi ofiarami więzienie.

— *Mamo! mam!* — wołała Rozalia, wyciągając rączkę za uchodzącą i wyrrywając się wszystkimi siłami z rąk trzymającej ją markizowej. — Zabierz mnie przecież ze sobą!

Księżna będąc już u drzwi, obróciła się raz jeszcze ku swemu ulubionemu dziecięciu, a w jej spojrzeniu wyrażała się cała miłość macierzyńska, cała boleść rozłączenia, którego żadna nadzieja ujżenia się znowu nie osładzała. Ach, ona przeczuwała, że to było ostatnie



spojrzenie, które na tej ziemi zwracała na swą ukochaną Rozalię, na to dziecię tak drogie jej sercu, które było jedyną pamiątką po rychło zmarłym mężu. Czuła ona w tej stanowczej chwili, że na tym świecie nie ujrzy już tej drogiej istoty i byłaby pewno pospieszyła napowrót, by jeszcze jeden pocałunek złożyć na jej ustach, gdyby jej nieludscy towarzysze, zatwardziali przez tyle krwawych obrazów, nie byli ją tej małej nawet pozbawili pociechy.

Pani Tressan wzięła płaczącą dziewczynkę w swoje objęcia i starała się pocieszać ją, że matka powróci wkrótce. Ach, ona sama potrzebowała pociechy; bo przez czas wspólnego ich pobytu w więzieniu, przywiązała się tak serdecznie do Franciszki, iż tak wielką czuła boleść z jej rozłączenia, jak gdyby siostrę najdroższą wydzierano z jej objęcia.

Rozalia dopytywała się co chwilę, czy jej matka powróci wkrótce, a pocieszające słowa markizowej nie zdołały ukoić jej boleści. Ale gdy wieczór nadszedł i księżna nie wróciła, a nieutulona przyjaciółka zaczęła gorącemi łzami oplakiwać pewność swej straty, wtenczas

natura przemogła w dziecięciu nad niepokojnością i boleścią i zasnęła słodko na łonie swej przybranej matki.

— Czy mama powróci dzisiaj? — zapytała nazajutrz, gdy znowu znaczna część więźniów wyprowadzoną była z Conciergerie.

— Mama musiała wyjechać na długo, — odpowiedziała markizowa, — jak ci to już dawniej o tem wspomniała. Każała cię pozdrowić i powiedzieć ci, byś była grzeczną i posłuszną, by cię mogła kochać tem bardziej, gdy wróci do ciebie.

Rozalia spuściła smutnie główkę, ale że pani Tressan czyniła co mogła, by ją zatrudnić i zabawić, więc pierwszy dzień przeszedł lepiej niżeli się spodziewała.

Tymczasem co godzinę, co chwilę przybywało więcej uwięzionych, którzy ze zgrozą opowiadali o bezprawiach, jakie się działy w imieniu wolności, sprawiedliwości i cnoty.

— Można dziękować Bogu, gdy się przez śmierć ujdzie widokowi okrutnych scen, które się dzieją codziennie na ulicach Paryża, — rzekł jeden stary szlach-

cic; przyprowadzony świeżo d Conciergerie. — Każdy choćby, najmniej podejrzany, zostaje uwięzionym, a to znaczy to samo, co zostaje prowadzonym na rusztowanie. Podejrzanym zaś jest każdy, kto jeszcze ma jakąkolwiek własność, lub kto ma nieprzyjaciół. W Lyonie wymyślili Herbois i Rousine, którym ścinanie i rozstrzelanie nie było wystarczającym, machinę, przez którą pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt osób naraz kartaczami rozstrzelane być mogą; a kogo kule nie dosięgną, tego dobijają żołnierze bagnetami lub kolbami. Konwent narodowy postradał wszelką władzę i podpisuje na oślep to, co mu krwi cheiwi terroryści przedłożą i wszystkie ich propozycje przyjmuje jako prawo.

Wszyscy więźniowie słuchali ze zgrozą i przerażeniem tego opowiadania, a szczególnie pani Tressan. Drżała ona bowiem na myśl, iż jeżeli konwent narodowy stał się tak bezwładnym, że czynił co Jakubini i terroryści żądali, wtenczas i jej przyjaciele napróżno o jej ocalenie starać się będą. Pełna trwogi o swoją przyszłość, drżała jeszcze i o los powierzonego sobie dziecięcia, bo cóżby się z

niem stało, gdyby i ona padła ofiarą rewolucyi? Dać jakąkolwiek wiadomość o życiu i nieszczęściu tego dziecka wujowi tegoż, hrabiemu Rzewuskiemu niepodobno jej było, nie pozostało jej więc nic innego, jak polecić wszystkim współwięźniom. O współczuciu ich była przekonana, bo piękna i rozsądna dziewczynka była ulubieńcem wszystkich, którzy ją otaczali.

Rozalia należała do rzędu tych dzieci, których umysł i pojęcie przez ciągłe obcowanie z dorosłemi osobami, wczesnie się rozwija; których rozsądek kształci się przez rozmowy, odbijające się o ich uszy i które lubo mają przyjemną młodość, nie znają jednakże dziecinnego wieku. Księżna znajdując największą przyjemność w zajmowaniu się jej drogiem, pod każdym względem z przyrodzenia bogato uposażonem dziecięciem miała ją zawsze przy sobie, a Rozalia skończywszy rok szósty, równała się wykształceniem dzieciom drugie tyle lat liczącym. Więc też biedni uwiecznieni lubili rozmawiać i bawić się z dziecięciem, którego zdolności i rozum wykształcony podziwiać musieli; a jej miłe towarzy-



stwo osłodziło im nie jedną chwilę pełną rozpacz i trwogi. Nawet mrukliwy dozórca nazywał ją często, „ma petite“, lub „mon ange“, a praczka w Conciergerie, pani Berlot, ofiarowała się wyprowadzić czasem małą dziewczynkę na przechadzkę. Dozórca więzienia nie zabraniał tego, lubo wyraźnego pozwolenia dać nie śmiał. Księżna Lubomirska nie mogła się przewyciężyć, by swoją Rozalię chociaż na chwilę oddalić od siebie, z obawy, by ją jakie nie spotkało nieszczęście. Więc dziecko musiało ciągle zostawać w ciasnem więzieniu. Po śmierci nieszczęśliwej księżnej, gdy dziecię stawało się coraz węższe i bledsze, postanowiła dobra kobieta ponowić swoją prośbę. Jednego przeto poranku, przyniosłszy świeżo uprasowaną bieliznę dla pani Tressan, rzekła, głaszcząc blade lica dziewczynki: — Pani Markizowo — chciałam mówić — obywatelko Tressan, twoja przybrana córeczka jest mdła i blada do przedmuchnięcia, zapewne to z braku świeżego, zdrowego powietrza, wędnieje tak ta biedna lalczka. Pozwól mi wziąć ją czasem na przechadzkę; jutro naprzykład jest wielkie święto naro-

dowe, które z niesłychaną pompą będzie obchodzone. Będzie się tam czemu przypatrzeć, a to rozerwie i rozweseli zapewne biedną sierotkę.

Pani Tressan spojrzała z rozrzewnieniem na dobrą kobietę i rzekła:—Chętnie powierzyłabym ci na kilka godzin moją przybraną córkę, dobra pani Berlot, ale czy dozorca więzienia przystanie na to?

Już ja dawniej mówiłam z nim o tem, — odpowiedziała praczka, — jest on moim stryjecznym bratem i zapewne uczyni dla mnie, że się nie będzie temu sprzeciwiał. Za życia księżnej dał mi był już raz swe pozwolenie, mówiąc, że tego marnotka nikt nie spostrzeże, lecz biedna matka nie chciała się ani na chwilę rozłączyć ze swą córką, dla tego nie przyszło to do skutku. Kiedy brat Renard przystał wówczas na to, dla czegoż miałby teraz być sprzecznym? Ale otóż nadchodzi, możemy się dowiedzieć natychmiast: — Bracie Renard, — rzekła, obracając się do dozorca, — wszakże pozwolicie mi zaprowadzić jutro małą Rozalię na uroczystość rzeczy pospolitej?

Renard wstrząsnął głową i rzekł: — Nie wiem czy się odważyć na to.

— Przecież wówczas, gdy jeszcze żyła obywatelka Lubomirska, nie mieliście nic przeciw temu, — rzekła pani Berlot.

— Tak wtenczas, — odpowiedział Benard rozwlekło, — wtenczas nie brano rzeczy jeszcze tak ściśle, jak teraz, kiedy brat Bobespierre trzyma ster rządu w swem ręku. Jestto cnotliwy, ale bardzo surowy człowiek. Jednak przyrzekłszy wam już dawniej, będę patrzył przez szpary; ale powiadam wam, że mi za to głową odpowiecie, jeżeli dziecko nie będzie przed wieczorem na swoim miejscu.

Pani Berlot obiecała zastosować się ściśle do rozkazów swego krewnego, a obracając się do Rozalii rzekła: — No laleczko, czy chcesz pójść ze mną jutro zobaczyć tę piękną uroczystość?

Jeżeli mama Tressan pozwoli, pójdę bardzo chętnie z tobą, dobra pani Berlot, — odpowiedziała Rozalia. — Ty tak ujęciem jesteś zawsze dla mnie, a ja tęsknię tak bardzo za świeżem powietrzem. Tu na podwórku więzienia tak duszno i smutno, a z tych okien za kratami wyglądają także blade i smutne postacie, że aż

się serce ściska na ich widok; wolę więc już wcale na dół nie schodzić.

Dziesiątego Listopada przysłała pani Berlot do Conciergerie, aby zabrać ze sobą biedną Rozalię na przechadzkę, i zaprowadzić ją do kościoła Notre-Dame, gdzie się miała odprawić uroczystość na cześć rozumu. Średnia córka pani Berlot przysłała także z nią i dzieci zapoznały się prędko ze sobą. Najprzód udała się z niemi pani Berlot do ogrodu tuilleryjskiego, a dzieci cieszyły się nawet szelstowi zeschłego liścia, które już ścięszki okrywało i chwarczało pod ich nogami. Oczy Rozalii błyszczały radośnie, a jej twarzyczka, okryta niezwykłym rumieńcem, zdawała się być zachwycającej urody.

— Czy to twoje dziecko, obywatelko?  
— rzekł jeden z przechodzących, przypatrując się bacznie dziewczynce.

— Do usług, obywatelu, — odpowiedziała pani Berlot, — jestto moja najmłodsza.

— Twoje dzieci niepodobne sobie, — rzekł znowu nieznajomy, rzucając oczyma na grube rysy starszej dziewczynki.

— Różia jest z mego drugiego małżeń-



stwa, odpowiedziała śmiało pani Berlot.

Nieznajomy oddalił się.

Nie będę mogła tego dziecka prowadzić na publiczne miejsca, — mruknęła pani Berlot, gdy nieznajomy był tak daleko, iż tych słów dosłyszeć nie mógł. — Ona wygląda tak arystokratycznie, iż mogliby mi ją porwać, a cóżby na to brat Benard powiedział? Oj, strzeż się matko Berlot, by twoje niewczesne miłosierdzie nie nabawiło cię kłopotu.

Rozalia nie pojmowała jasno, dla czego ona, księżniczka Lubomirska, naraz córką praczki Berlot nazywać się miała; lecz słyszała tak często w więzieniu, że w tych czasach największem jest nieszczęściem pochodzić z wysokiego rodu, że nie śmiała odezwać się z tem, iż jest córką księżnej Lubomirskiej, i milczała, bo jakieś przeczucie mówiło jej, iż dobra praczka miała słusne powody nazywania ją swą córką, i lękała się uczynić jej jaką nieprzyjemność, odzywając się z prawdą. Nawykła przy matce mówić tylko wtenczas, gdy była pytana, i zapytać się dopiero, będąc sama z matką lub boną, o to co dziwiło, milczała teraz.

Lecz gdy przyszły do ciemnego chodnika, gdzie nikt z przechodzących nie znajdował się, zapytała nieśmiało: — Dobra pani Berlot, czemu nie powiedziałaś temu panu mego prawdziwego nazwiska? i dla czego powiedziałaś, że ja jestem twojem dzieckiem?

— Bo w tych czasach lepiej być córką praczki, niż księżniczką — odpowiedziała pani Berlot. — Ty tego niemożesz jeszcze pojąć — mówiła dalej, spostrzegając, iż dziewczynka patrzy na nią z podziwieniem; — ale przyjdzie czas, gdzie poznasz, iż miałam słusność ukrywając twoje nazwisko. Lecz pójdźcie dzieci do kościoła Notre Dame, bo uroczystość zacznie się wkrótce zapewne.

Przybywszy do kościoła, zastały go już napełnionym tłumem ludu; ale dzięki swemu stanowi biednej praczki, była chętnie przez tłum przepuszczoną. Jedną z jej znajomych zachowała jej wygodne miejsce na chórze, z kąd się mogła przypatrzeć wygodnie całej uroczystości, posadziwszy Anusię swą dziesięcioletnią córkę obok siebie, a Rozalię na swych kolanach, która lękliwie przytuliła się do niej. W głębi kościoła wzniesiona była

świątynia filozofii w kształcie góry.\*) W niej znajdowała się piękna kobieta, wolność wyobrażająca. Dzieci patrzyły z podziwieniem na to dziwne widowisko, i nie mogły sobie wytłomaczyć, dla czego w środku kościoła świątynia wystawioną była, i co miała znaczyć stojąca wewnątrz kobieta. Ale ich uwaga była wkrótce na co innego zwróconą. Wśród dźwięków hucznej muzyki ukazało się kilkanaście par młodych dziewic w bieli ubranych, z wieńcami z dębowych liści na głowach i ramionach, z jarzącymi pochodniami w ręku. Te dziewice obeszyły kilka razy na około góry, a potem wolność wystąpiła na brzeg świątyni, i hymny radosne zabrzmiały, które całe zgromadzenie śpiewało. Potem przystąpił pan jakiś do przedstawicielki wolności, podał jej rękę i cała ta szalona gromada, napełniająca przestrzeń kościoła, udała się do pałacu konwentu narodowego.

Pani Berlot nie poszła za drugimi, lecz ponieważ wieczór się już zbliżał, udała się na przedmieście Saint Antoine do swego mieszkania.

---

\*) Góra, partya ultrarepublikańska, dla tego tak nazwaną, iż członkowie jej zasiadali na wywyższonych miejscach.

— Cóżto znaczyła ta uroczystość? — zapytała Rózia, gdy wyszły z kościoła.

— To było święto rozumu, moja lalczko — odpowiedziała praczka.

— Święto rozumu? — rzekło dziecko z namysłem. — Czyżto ludzie przyszli dopiero do rozumu, że się tak cieszą z tego?

— Tak się zdaje — odpowiedziała pani Berlot z uśmiechem — ale my nie powinny sądzić o tem, i lepiej poprzestać tej rozmowy.

Dziecię umilkło, ale Anusia, która już była dość roztropna, mówiła śmiało: — Ta uroczystość wcale mi się nie podobała, nie warto było chodzić tak daleko dla tego. Dziesiątego Sierpnia to było wiele piękniejsze święto. Wielka szkoda, żeś tego nie widziała, moja Róziu. Jeszcze przed wschodem słońca zebrały się tłumy ludu na placu Bastyli, a na jej gruzach poprzyklejane były rozmaite napisy, ściągające się do tych czasów, kiedy Bastyla była okropnem więzieniem, gdzie król tysiące biednych ludzi zamykać kazał.

— Lecz czemuż zburzono Bastylę? — przerwała Rózia — kiedy tedy teraz za-



mykają biednych, niewinnych ludzi w Conciergerie? boć moja mama i ja jesteśmy zupełnie niewinne i nie uczyniliśmy nic złego nikomu.

— Tego ci nie umiem wytłómaczyć — rzekła Anusia z namysłem; — ale nie przerywaj mi, bo ci opowiem o całej uroczystości. Więc na gruzach Bastyli były przyklejane napisy, a wśród nich stał wielki posąg wyobrażający naturę, pod nią zaś był napis: *„Jesteśmy wszyscy jej dziećmi.”* Potem zagrzmiały wystrzały z armat, dała się słyszeć piękna muzyka i wiele ślicznych pieśni patryotycznych śpiewano. Potem cały orszak udał się na bulwary. Najprzód szły rozmaite kluby z chorągwiami na czele, na których było wymalowane oko z chmur wyglądające; dalej cały konwent narodowy i deputowani rozmaitych prowincyj, a wszyscy przystrojeni byli w trzykolorowe wstęgi. Członkowie konwentu narodowego nieśli każdy w rękę wiązkę kłósów i owoców, inni znów karabin i różczkę oliwną. Potem szło wiele, wiele ludzi, a nakoniec dzieci z instytutu ślepych i podrzutków. Potem znowu jechało na pług, ciągnionym przez ludzi, dwoje

starców w świątecznym ubiorze; za nimi wóz, do którego ośm przepysznych koni zaprzężonych było, a na nim stała urna z popiołem, na uczczenie pamiątki poległych w boju za wolność. Na środku bulwarów była wystawiona brama tryumfalna, a na placu Rewolucyi stał obraz wolności, otoczony młodemi drzewami, których gałęzie były przybrane w wstęgi trzykolorowe i czerwone czapki. O, to było precudnie! Za temi drzewami był zrobiony stós, na którym leżały rozmaite rzeczy, które nazywano atrybutami królestwa. Prezes miał długą mowę, a potem zapalił własnoręcznie ów stós. W tej chwili wzleciało w powietrze mnóstwo małych ptaków, — podobno było ich przeszło 3000 — z których każdy miał trzykolorową wstążeczkę na szyjce. Ciemno zrobiło się około nas, lecz mówiono, że na tych wstążeczkach stał napis: *„Jesteśmy wolni, naśladujcie nas.”* Dalej nie szłyśmy już, bo matka musiała odnosić bieliznę do więzień, więc nie mogłyśmy widzieć pięknej uroczystości na cześć wolności.

— To musiało być ślicznie — rzekła Rozalia z radością, — szczególnież chcia-

łabym widzieć te ptaszki z wstążkami. Lecz kiedy to było święto na cześć wolności, dla czegoż nie wypuszczano także wszystkich uwiezionych?

— Moja Róziu, jak się też możesz pytać o to?— rzekła Anusia z poważną miną — w więzieniach siedzą przecież arystokraci, a tych nie można wypuścić, bo oni by nam znowu wolność zabrali.

— Co to są arystokraci? — spytała Rózia.

— Są to wielcy panowie, którzy uciśkają lud biedny i zazdroszczą mu wolności — odpowiedziała Anusia.

— Zazdroszczą wolności ludziom?— powtórzyła Rozalia z podziwieniem. Moja matka jest przecież księżną, a ona nie ma nic przeciwko waszej wolności.

— Cicho ty szczebiotko — rzekła pani Berlot, kładąc palce na ustach Rozalii, i wprowadzając ją spieszo do sieni jej pomieszkania, gdzie były właśnie nadeszły; a gdy po ciemnych wązkich wschodach weszły do jej izdebki, mówiła dalej: — pamiętaj Róziu, że ty musisz uchodzić za moją córkę, inaczej nie mogłabym cię częściej wyprowadzić na przechadzkę, a musi ci przecież być przyjem-

nie, że możesz opuścić czasem ciemną izbę w Conciergerie?

— Nie zapomnę się już więcej razy — rzekła dziewczynka, całując grubą rękę praczki; — przebacz mi tę nieostrożność, dobra pani Berlot.

— No, no, ja się przecież nie gniewam — rzekła poczciwa kobieta; a rozebrawszy się spiesznie ze swego świątecznego stroju, przywiązała gruby fartuch i udała się do kuchni, by przyrządzić skromną wieczerzę. Najstarsza z dziewczynek pobiegła pomagać matce, a Anusia trochę niechętnie, jak się zdawało, musiała usieść przy kołysce, by uspić kwilącego najmłodszego braciszka. Było to trudnem zadaniem, bo na podłodze bawiło się dwóch starszych chłopczyków, którzy przez swe wesołe wykrzykiwania, budzili co chwilę zasypiające niemowlę. Izdebka, w której matka Berlot mieszkała, była pod dachem czwartego piętra, ale wszystko tak było w niej czysto i schludnie, iż milej było znajdować się tam, niż w niejednym salonie bogaczy, zbyt kownie, lecz bez gustu i ładu urządzonym. Rózia usiadła na ziemi przy małych chłopczykach, a ci podawali jej



przyjaźnie swe proste, poczęści popsute zabawki. Gdy pani Berlot weszła z wieczerzą do izby, zastała dzieci bawiące się w największej zgodzie.

Gdyby Rozalia z pysznego salonu swojej matki była się dostała do pomieszkania pani Berlot, byłaby jej pewno przykrą nędzna wieczerza, składająca się z perek, chleba i sera, stojąca na dębowym stoliku; ale przywykła od wielu miesięcy do lichego pożywienia w więzieniu, znajdowała ją bardzo smaczną i z większą ją jadła ochotą, niżeli dawniej cukierki i łakocie u swej matki. Po wieczerzy bawiła się znowu wesoło z dziećmi praczki, i usłyszała prawie z boleścią, gdy ta przypomniała jej, iż czas było powrócić do więzienia.

Gdy Katarzyna pozbierała i schowała klejnoty księżnej, by przez to uchylić Lafleurowi niejakaś część jego grzesznego zarobku, udała się do jednej ze swoich znajomych, która będąc także Polką, żyła w Paryżu zaślubiona malarzowi francuzkiemu. Pan Lavoisier, mąż jej, był zagorzałym republikaninem, rozumiała więc Katarzyna, iż będzie bezpieczną w tym domu, i miała nadzieję, iż pan La-

voisier zajmie się losem nieszczęśliwej księżnej, i postara się o jej uwolnienie. Wchodząc do domu swej przyjaciółki, by ją o pomoc i schronienie upraszać, zachowała starannie pudełko z klejnotami w kieszeni swej sukni. Przyjęta uprzejmie od małżonków, odważyła się zaraz pierwszego wieczora błagać pana Lavoisier, by jej dopomógł do wydobycia jej pani z rąk tych krwi chciwych ludzi.

— Zaraz po uwolnieniu księżnej wyjedziemy z Paryża, — zapewniała Kasia. Nie damy więc już żadnego powodu do podejrzenia, a księżna i jej rodzina wynagrodzą ci wspaniale przysługę, którą im uczynisz, dobry panie Lavoisier.

Malarz zmarszczył brwi na te słowa i rzekł groźnie: — Poprzestań prosić za twoją księżną; nie mogę i niechęć uczynić nic dla niej, ani z łaski, ani za błahe pieniądze, któremi zdajesz się chcieć mnie ułudzić. Jestem republikaninem, więc nieprzyjacielem arystokratów, lecz choćbym nawet chciał wstawić się za obywatelką Lubomirską, na nicby jej się to nie zdało, a mnie bardzo mogło zaszkodzić. Nie możesz przecież wymagać po mnie, bym siebie i mą rodzinę miał

zgubić, dla osoby, której w życiu nie widziałem nawet.

— Lecz jakżeby mógł czyn miłosierny zgubić cię? — zapytała z podziwieniem Katarzyna.

— Moje dziecko, ty tego nie rozumiesz, — rzekł malarz lekliwie. Profesor Leboeuf został dla tego straconym, iż przez łagodne obchodzenie się z młodym Kapetem\*) podał się w podejrzenie i arystokracją. Obywatel Masses utracił życie za to, iż zdjął kapelusz przed wdową Kapet\*\*), a Kamil Dumoulin poszedł na rusztowanie, bo usiłował ocalić generała Artura Dillon. Więc poprzestań twoich nalegań, bo chociaż chętnie chciałbym uczynić jaką przysługę ziomce i przyjacielce mej żony, jest to z wielkiem połączone niebezpieczeństwem i zupełnie przeciwko moim zasadom.

— O mój Boże! — zawołała Kasia; — więc moja nieostrożność będzie może przyczyną śmierci mej pani, a ja nie mogę nic uczynić, by ją ocalić i błąd mój naprawić! Więc cię nie wzruszyć nie

---

\*) Tak nazywano wówczas syna Ludwika XVI.

\*\*) Marya Antonina.

zdoła, — mówiła dalej, podnosząc błagalne spojrzenia na malarza, — byś przynajmniej cokolwiek uczynił dla niej?

— Żałuję bardzo, — odpowiedział malarz niecierpliwie; — zdaje mi się, iż ci już dość wyraźnie powiedziałem, że to nie jest w mojej mocy.—To mówiąc, wyszedł z pokoju.

— Balbino, więc nie ma żadnej nadziei? — rzekła płacząc nieszczęśliwa Kasia; obracając się do swej przyjaciółki.

— Uspokój się, moje dziecko — rzekła pani Lavoisier:—mężczyznom trzeba zostawić czas do namysłu. Udaj się tymczasem na spoczynek, gdyż jesteś widocznie znękana przygodami dnia tego, a jutro może ci lepszą wiadomość przyniosę.

Katarzyna usłuchała rady swej przyjaciółki, bo czuła sama jak była znużoną na ciele i duszy; więc też pomimo okropnego kłopotu i obawy, które ją dręczyły, zasnęła snem smacznym i zbudziła się dopiero nazajutrz, gdy słońce wysoko już stało na niebie. Spieszno powstała z posłania i zaczęła ubierać się, chcąc się jak najprędzej dowiedzieć, czy pani Lavoisier nie zdołała zmiękczyć swego męża, by zdziałał co dla księżnej Lubomirskiej.



Lecz jeszcze nie była ubraną, kiedy je przyjaciółka weszła z smutnym wyrazem twarzy do pokoju. — Nie mogłam nic więcej wyrobić dla ciebie, biedna Kasiu, jak, że mąż mój wystara ci się o paszport, za którym będziesz mogła powrócić do naszej ojczyzny. Dla twojej księżnej nie może on i nie chce nic uczynić, więc ci nie pozostaje nic innego, jak uwiadomić o tem nieszczęściu jaknajśpieszniej jej krewnych, którzy przez swoje związki i znajomości w Paryżu, wyrobią może uwolnienie dla tej nieszczęśliwej, która swą nieostrożność pozostania za długo w Paryżu, tak okropnie przypłaciła.

Katarzyna pojęła łatwo, iż najrozsądniej było usłuchać rady jej przyjaciółki; a że pan Lavoisier przyniósł już w południe przyobiecany paszport, udała się tego samego wieczora w podróż do Polski.

—Byłem na przedmieściu Saint Germain, — rzekł malarz, podając Katarzynie znaczną sumę pieniędzy na drogę; — zwiedziłem pomieszkanie księżnej, chcąc widzieć, czyby się nie dało co uratować z jej własności, lecz cały pałac jest zrabowany; nie pozostało nic, prócz gołych

ścian, więc przyjmij Kasiu te pieniądze odemnie na drogę.

Z wdzięcznością przyjęła Kasia ofiarę zagorzałego republikanina, który, lubo odrzucił jej prośbę, zajęcia się losem jej pani, wskazał jej przynajmniej możebność działania dla niej w inny sposób. Sprzedać na podróż uratowane klejnoty, byłoby z wielu połączonych trudnościami; a będąc pewną, iż hrabia Rzewuski powróci sumiennie malarzowi wyłożone pieniądze dla niej na podróż, Kasia przyjęła ofiarę jego bez wachania, i zamilczała zupełnie o klejnotach, które miała przy sobie, chcąc je nietknięte oddać w ręce hrabiego Rzewuskiego.

Jeszcze słońce nie było zniknęło z widnokregu, kiedy już Kasia znajdowała się za rogatkami Paryża; lecz dopiero gdy przebyła granicę Francyi i ujrzała się na ziemi belgijskiej, odetchnęła swobodniej, bo przestraszony, który ją ogarnął w Paryżu, ścigał ją do samej granicy. Odbywała więc tę podróż pocztą, dniem i nocą, by jaknajprędzej mogła przybyć do hrabiego Rzewuskiego. Lecz ta spieszna jazda, również jak i wrażenia, których doznała w ostatnich czasach w Paryżu,

tak zwątlily jej siły, że wkrótce była zmuszoną odpoczywać po kilka godzin w oberżach. Jednakże to niepomagało jej wiele, okropne sny dręczyły ją po nocach, a febrowa gorączka rozpałała jej ciało. Z rana czuła się często tak osłabioną, że z największą trudnością przychodziło jej powstać z pośłania, by w dalszą puszczać się drogę. A jednak spieszyła ciągle dalej, bo każda stracona chwila pomnażała niebezpieczeństwo. Hrabia Rzewuski bawił dawniej długi czas w Paryżu, pochodził z jednej z najznakomitszych rodzin w Polsce; jego więc i rodziny Lubomirskich usiłowania musiałyby oswobodzić młodą księżnę. — Tak rozmyślała często Katarzyna, przeklinając przytem niegodziwego Lafleura, który, pod pozorem szczerego przywiązania, wyłudził z niej tajemnice jej pani. Jakże gorąco błagała Boga, by jej dodał sił i dozwolił dostać się do zamku hrabiego! Jakież nadludzkie prawie czyniła wysilenia, by zwalczyć wzmagającą się chorobę, chcąc koniecznie dosięgnąć już blizkiego celu swej podróży. — O wszechmocny Boże i panie! — wołała z rozpaczą, — nie daj mi upaść pod ciężarem choroby i zgryzo-

ty sumienia; zlituj się i dodaj mi sił, bym mogła mój błąd okropny naprawić! Nie daj mi stać się przyczyną rozlewu krwi niewinnej! Chętnie poddam się woli, Twojej; chętnie opuszczę tak młodo ten świat piękny, ale nie daj mi umrzeć grzesznicą!

Tak przybyła z największym wysileniem aż do granicy polskiej, i już rozumiała, iż jej gorące błagania wysłuchanemi zostały, kiedy dnia jednego zmuszoną była pozostać w ostatniem miasteczku niemieckiem.

Przedsięwzięta była sobie jechać dalej tej nocy i wysiadła tylko z pojazdu pocztowego, by się cokolwiek posilić. Lecz w izbie pocztowej znajdowało się pełno panów, którzy z fajek i cygarów niezmiernie kłęby dymu puszczaali. Kasi tak było duszno w tej niezwykłej atmosferze, iż jej się w głowie zakołowrociło i siedziała prawie bez zmysłów na krześle, nie mogąc nic wzięść do ust z przyniesionego jej posiłku. Gdy oznajmiono, iż konie pocztowe już założone, a wszyscy podróżni zaczęli wychodzić z pokoju, Kasia chcąc powstać z krzesła, zachwiała się, i byłaby upadła, gdyby dobra żona



poczmistrza nie była ją wstrzymała.

— Cóż ci to biedna dziewczynko? — rzekła do niej uprzejmie, — czy jesteś chorą?

— Źle mi się zrobiło, — odpowiedziała Kasia, — lecz to zapewne tylko od dymu tytoniu, do którego nie jestem przywykłą.

— Nie, nie, twoja głowa jest rozpaloną, a ręce zimne jak lód, — rzekła poczmistrzowa. — Niepodobno, abyś mogła jechać dalej w tym stanie, podczas tak wilgotnej i zimnej nocy. Deszcz leje strumieniami, a wiatr zimny dmie przenikliwie. Jutro, jeżeli ci będzie lepiej, pojedziesz dalej, lecz dzisiaj byłoby to szaleństwem. — I nie czekając odpowiedzi młodej dziewczyny, która drżała we febrze, zawołała głośno: — Meżu, powiedz Janowi, żeby wyniósł z pojazdu rzeczy tej młodej panienki, ona tu zostanie przez noc. — Katarzyna chciała się jeszcze opierać, lecz szczęściem, iż się czuła za słabą, by wsieść do pojazdu; szczęściem, że rozkazy poczmistrzowej w mgnieniu oka wypełnione zostały, milczała jeszcze, gdy turkot odjeżdżającego pojazdu dał się już słyszeć.

— Pójdź teraz ze mną moje dziecko, — rzekła dobra kobieta, — zaprowadzę cię do mego pokoju, bo tu udusiłby się można od dymu.

Kasia usłuchała mimowolnie, lecz tak była osłabioną, iż nie mogła iść o swojej mocy, i dobra pocztmistrzowa musiała ją prowadzić. Wyszędłszy do sieni i odetchnąwszy świeżem powietrzem, przyszła wprawdzie nieco do siebie, nie była jednakże w stanie wdać się w rozmowę, do czego gadatliwa poczmistrzowa wielką miała ochotę, lecz co też dla jej zupełnej nieumietności języka niemieckiego nie było możebnem.

Prosiła więc tylko, by jej wskazano miejsce, gdzieby się mogła położyć; a gdy ją zaprowadzono do przeznaczonej jej izdebki, upadła nierozebrana bez zmysłów na łóżko.

Nazajutrz, gdy poczmistrzowa przyszła dowiedzieć się, czy będzie mogłajechać dalej, Kasia była bez przytomności i mówiła w malignie, a jej słowa bez związku tak przeraziły dobrą kobietę, iż pełna trwogi, pobiegła po swego męża.

— Mężu, — zawołała z przelęknieniem, — z tą nieznaną jest bardzo źle,

i niedobrześmy zrobili, żeśmy ją tu zatrzymali. Mówi ona w gorączce, nazywa się zabójczynią swej pani, zrywa się na łóżku, i woła, że musi biegnąć na jej ratunek.

— Ta dziewczyna dostała zapewne nerwowej febry, — rzekł rozsądny pocztmistrz, — trzeba jej posłać po lekarza. Kto wie, czy ona nie jedzie z Francji i co tam za okropności przeżyła, które ją tak wzruszyły. Mówi ona źle po niemiecku, jak wszyscy emigranci, których tak wielu przejeżdżało już przez nasze miasteczko.

Przywołany lekarz uznał, że chora ma nerwową febrę i jest w wielkiem niebezpieczeństwie.

Pan Walter, pocztmistrz, był w wielkim ambarasie. Chętnie chciałby uwiadomić krewnych młodej dziewczyny, lecz gdzież ich miał poszukiwać? Od Kasi nic się nie można było dowiedzieć, bo ona fantazowała ciągle, i zdawała się nie słyszeć wcale co do niej mówiono, lub tak przewrotne dawała odpowiedzi, że widać było, iż nie rozumiała wcale co do niej mówiono.

W tym kłopotcie odważyła się pani pocztmistrzowa przeszukać rzeczy nie-

znajomej dziewczyny, lecz nie znalazła między niemi żadnego objaśnienia, oprócz paszportu, który nie więcej nie zawierał, tylko, że panna Katarzyna Gór-ska dostała pozwolenie powrócenia do Polski, swojej ojczyzny. Nie było tam wzmianki ani o okolicy, ani o mieście, do którego się udać zamierzała. Musieli więc poczciwi małżonkowie zostawić czasowi wyjaśnienie tego wszystkiego, w przypadku gdyby siła młodocianna dziewczyny przemogła śmiertelną chorobę.

Najbardziej zastanawiało to panią Walter, że Katarzyna wspomniała często w gorączce o pudełku z klejnotami, którego pomiędzy jej rzeczami wcale nie było. Pytano się pocztyliona, czy nie zostawił czego w pojeździe, lecz ten upewniał, że nieznajoma osoba trzymała w ręku, wychodząc z pojazdu, małe pudełeczko, i że wszystkie jej rzeczy wyniesione zostały. Szukano więc po całym domu, a że nigdzie pudełka nie było, powzięto mniemanie, że kto z podróżnych zabrał je ze sobą, umyślnie lub przez omyłkę.

— Względem tego niepodobno czynić żadnych poszukiwań dalszych,— mó-



wił pan Walter do żony, — staraj się więc ile możności odwracać myśl chorej od tego przedmiotu.

Pani Walter usłuchała rady męża, lecz Kasia zdawała się coraz gwałtowniejszą czuć niespokojność o pudełko, a lekarz oświadczył, iż stan zdrowia dziewczyny zawisł od znalezienia go.

Nakoniec dziesiątego dnia, gdy będącą ciągle bez zmysłów Katarzynę wyniesiono z łóżka, by je przesłać i wytrześcić, znaleziono pod matracem pudełko hebanowe, bogato srebrem ozdobione. Pani Walter pobiegła z niem do męża, wołając: — Patrz, otóż Anna znalazła w łóżku nieznanym owo upragnione przez nią pudełko.

Pan Walter obejrzał je uważnie i rzekł: — To piękne pudełeczko musi zawierać ważne dokumenta, lub wielkie kosztowności, zachowaj je więc starannie, moja żono, bo może zależą szczęście i powodzenie całej rodziny od tego, co się w niem znajduje.

Pani Walter obiecała czuwać nad niem, a potem udała się do pokoju chorej, by jej pokazać skarb tak upragniony, i uważać, jakie to na nią zrobi wrażenie:

— Kasiu, — rzekła, nachylając się do niej, — twoje pudełko znalazło się, otóż jest.

Chora leżała bez poruszenia, i zdawała się nierozumieć wcale słów do niej wymówionych; ale gdy pani Walter położyła na kołdrę pudełko, i rękę Kasi na nie; ta zadrżała, i otworzywszy szeroko zawsze prawie dotąd zamknięte oczy, patrzała na nie, a w tem spojrzeniu zabłysło coś na kształt rozpoznania. Potem obracała w ręku pudełko, jakby się przekonać chciała, czy go nie otwierano; złożyła swe wychudłe ręce jakby do modlitwy, wkrótce zasnęła snem spokojnym, pierwszy raz przez ciąg całej choroby.

Gdy lekarz przyszedł i usłyszał jej oddech tak spokojny i równy, oznajmił z wielką radością dla pani Walter, że jest nadzieja poprawy.

---

W ciemny wieczór Listopada wstrząsał silnie wiatr północny wysokimi oknami Kopczyzna. Hrabia Rzewuski przechadzał się niespokojny po obszernej komnacie, w której na staroświeckim kominie dogorywający ogień wybuchał jeszcze niekiedy jaskrawym płomieniem.

Jakieś myśli ważne zdawały się zajmować duszę hrabiego, bo co chwilę zatrzymywał się przy oknie, spoglądając z niespokojnością na drogę prowadzącą do Warszawy. Wtem spostrzegł pędzącego tą drogą jeźdźca i zadzwonił gwałtownie; a gdy się ukazał we drzwiach służący, rozkazał, by natychmiast przyniesiono mu listy od oczekiwanego gońca.

Wkrótce znajdowała się w ręku hrabiego paka listów, które z wielkiem zajęciem przeglądał, a nakoniec rzekł ponuro: — Znowu żadnego listu z Paryża, nadzieja opuszcza mnie coraz bardziej.— Albo komunikacya z Francją zerwana, albo Kamiński padł ofiarą rewolucyi. Jeszcze raz powtórzył swój przegląd, a tą razą wypadł ze środka mały liścik, stęplowany z Paryża. Promień niezwykłej radości zabłysł w czarnem oku hrabiego, lecz jakby się lękał co ten list zawiera, ważył go przez chwilę w swem ręku, nieśmiejąc złamać pieczętki; nakoniec otworzył go i czytał co następuje:

“Drogi przyjacielu! Nie mogę dotychczas donieść Ci nic pewnego o losie twojej nieszczęśliwej siostry, ale podług wszelkiego podobieństwa trzeba się lękać,

że padła ofiarą rewolucyi. Już w miesiącu Czerwcu opuściła ona swoje pomieszkowanie na przedmieściu St. Germain z dzieckiem i boną; resztą jej służby rozproszyła się, a hotel, w którym mieszkała, został do szczeru zrabowany. Dokładnych wiadomości o tych, którzy zginęli na rusztowaniu, niepodobna jest osiągnąć w tem panującym tu zamieszaniu; ale trzeba na każdy przypadek spodziewać się, że przynajmniej mała Rozalia pozostała przy życiu, bo któżby mógł znaleźć przyczynę do zamordowania sześciolatniego dziecka? — Ta myśl zajęła mnie bardzo, gdy przed kilku dniami przechodząc się po ogrodzie tuleryjskim, spotkałem jedną kobietę z ludu z dwiema dziewczynkami, z których młodsza tak delikatanie i pięknie wyglądała, iż zdawało się niepodobieństwem, by ona miała być córką tej prostej kobiety, a podobieństwo jej rysów twarzy do zmarłego księcia Lubomirskiego wzmocniło mnie jeszcze w tem mniemaniu. Ale ponieważ kobieta zapewniała mnie, iż to jej własne jest dziecko, a mała milczała na to, nie mogłem żadnego kroku więcej uczynić; żałuję jednakże niezmiernie, iż się nie zapy-



tałem o pomieszkanie i nazwisko tej kobiety, której już odtąd na żadnem publicznem miejscu napotkać nie mogłem.”

Hrabia przeczytał list i zawołał z wzruszeniem: — Miałażby to doprawdy być Rozalia! miałażby córka mojej nieszczęśliwej siostry żyć pomiędzy prostym ludem, a jej matka, jak tyle innych znakomitych osób, upaść pod gilotyną!

Długo siedział tak hrabia z opartą na rękę głową, a przed jego duszą przesuwały się obrazy szczęśliwej przeszłości, do których się terażniejsze okropne dołączały obawy. Przypominał sobie swą siostrę, jako młodą, powszechnie uwielbianą dziewczycę: potem jako szczęśliwą meżatkę; przypominał sobie małą Rozalią, gdy ta odjeżdżając do Paryża, czemu on bardzo był przeciwnym, objęła swemi drobnemi rączkami jego szyję, i zapewniała go, że będzie zawsze grzeczną i pilną. A teraz ta ukochana siostra, to dziecko tak miłe, zniknęły bez śladu, a on nie mógł nic uczynić dla ich odszukania i ocalenia, nie chcąc narażać swego życia, które był winien ochraniać dla swej żony i dzieci.

Zewsząd dochodziły wieści o okrucieństwach, które w stolicy francuzkiej

nawet na najniewinniejszych cudzoziemcach spełniane były, a hrabina Rzewuska błagała męża ze łzami, by się nie narażał na tak okropne niebezpieczeństwa. Musiał jej więc przyobiecać, że się nie uda pierwiej do Paryża, ażeby odszukać swą siostrę, dopóki spokojność nie zostanie przynajmniej o tyle przywróconą, że życie cudzoziemców nie będzie zagrożane.

Tak siedział rozmyślając właśnie nad tem, czyby jednakże nie powinien sam jechać do Paryża na ratunek siostry, gdy szelest jakiś obudził go z tego głębokiego dumania. Spiesznie obrócił się i spostrzegł przy drzwiach stojącą bladą jak cień, wychudłą, z pudełkiem w ręku Katarzynę, której w pierwszej chwili nie poznał. Ale spojrzawszy na nią powtórnie, porwał się z krzesła i zawołał: — Toś ty Kasiu! gdzież jest moja siostra?

Katarzyna, rzucając się do nóg jego, zawołała z rozpaczą: — O Panie! ukarż mnie, jak Ci się podoba, bo przez moją winę zaprowadzono księżnę do więzienia, a może i na rusztowanie!

Hrabia zbladł. — Tyś ją zdradziła, Katarzyno?! — zawołał. Ty, którą ona

tyle kochała, w której ona tak nieograniczone pokładała zaufanie?

— O jam to nie uczyniła z umysłu, — zawołała łkając Kasia, — tylko z lekkomyślnego zaufania do człowieka, który mnie i swą szlachetną panią najokropniej oszukał!

Potem opowiedziała, jak Lafleur pod rozmaitemi pozorami wywiadywał się zawsze, co w salonie rozmawiano, i jak nadużył jej niedoświadczenia, by księżnę przed krwi chciwym sądem oskarżyć. — Czyniłam, co mogłam, by oswobodzić księżnę, — dodała Kasia, — ale wszystko było daremne, opuściłam Paryż, by rodzinę księżnej na jej pomoc przywołać.

— I teraz dopiero, po pięciu miesiącach, przybywasz do mnie? — rzekł hrabia z wyrzutem.

— O Panie! — odpowiedziała Kasia, — leżałam śmiertelnie chora przez kilka miesięcy na granicy w niemieckim jednym miasteczku; przez długi czas byłam pozbawiona zmysłów, a poczciwi ludzie, którzy mnie pielęgowali, nie mogli się domyślić, z kąd jestem i dokąd się udaję. Gdy tylko wyratowano mnie od śmierci, pospieszyłam w dalszą podróż, i oto

przynoszę Ci, panie, co w ów okropny dzień, kiedy aresztowano księżnę, uratować zdołałam. — To mówiąc, oddała Kasia hrabiemu pudełko, do którego kluczyk wyjęła z kieszeni.

Hrabia Rzewuski otworzył pudełko i znalazł całkowite ubranie brylantów swej siostry.

— Katarzyno, — rzekł hrabia, — miałaś przy sobie tyle kosztowności, a cierpiełaś biedę i nędzę, jak twój ubiór okazuje?

— Panie, te klejnoty są własnością księżnej, lub spuścizną jej dziecka, jeżeli ona niestety nie żyje. Jakżebym była mogła pomyśleć nawet o ich naruszeniu?

— Wyjmij pan tylko brylanty, — rzekła dalej, — a pod spodem znajdziesz pan jej portret, który kazała zrobić kilka dni przed swoim uwięzieniem, i który przeznaczyła dla pani hrabiny.

Hrabia uczynił, jak mu Kasia wskazała, i prawie radośny okrzyk wydarł się z ust jego, bo ujrzał portret swej siostry w miniaturze, w blasku całej jej piękności i młodości. — Biedna Franciszko! — zawołał, — tak młoda i piękna, jakże okropnemu popadłaś losowi! Ale wszak-



że jeszcze wszelka nadzieja nie jest stracona; dołożę najusilniejszych starań, by się o twoim losie dowiedzieć; a jeśli tylko będzie podobno, udam się sam do Paryża. Może żyje moja siostra gdzie w ukryciu, a gdyby już nie istniała na tym świecie, to może przynajmniej dziecko jej uszło zapalczywości krwi chciwej władzy, i będę ją mógł wyratować i przywieść do ojczyzny.

— Kasiu, — rzekł, obracając się do dziewczyny, — to co uczyniłaś z nierozwagi, niechaj ci Bóg przebaczy dla twojej skruchy, ale jeżeli księżna nie żyje, twoje sumienie stanie się twoim oskarżycielem, a wspomnienie pani, którą tak lekkomyślnie poświęciłaś, będzie ci zatrzuwało całe życie. Ja nie będę robił ci już więcej wyrzutów. Zostań w moim domu, dopóki ci nie będzie podobno, przez wierne usługi, wypłacić się księżnej lub jej dziecku, za twój występki.

Po tych słowach podał rękę Kasi, która ją z pokorą pocałowała i potem w milczeniu, drżącym krokiem oddaliła się z komnaty.

---

Gdy pani Berlot, po onym wesole przepędzonym dniu, odprowadziła do więzienia małą Rozalię, pośpieszyła ta zaraz uściskać swoją kochaną mamę — jak zwykle nazywała panią Tressan, — ale jej już tam nie było.

Mrok był zapadł, a dozorca więzienia zaświecał właśnie lampę, która rozpościerała słabe światło dokoła. Mała Rozalia wołała głosem stłumionym od strachu: — Mamo, dobra mammo, gdzie jesteś?

Nikt nie odpowiadał; zdawało się, że wszyscy przytomni więźniowie lekali się wymówić okropnego słowa, które biedną sierotę objaśnić miało.

To milczenie, ta cisza panująca w tych ciemnych miejscach, napełniała przerażeniem dziewczynkę i z głośnym płaczem wołała coraz lękliej: — Mamo, dobra mammo, gdzie jesteś?“

Nakoniec wyszła z jednego kącika stara baronowa d'Aubigny, a biorąc za rękę płaczące dziecko, rzekła poważnym głosem: — Kochane dziecię, twoja przybrana matka udała się do twej prawdziwej matki, aby jej powiedzieć, że ty byłaś ciągle dobrą i posłuszną dziewczyn-

ką; ale że to daleka jest podróż, więc pewnie nie powróci tak prędko, i prosiła mnie, abym tymczasem zastąpiła jej miejsce przy tobie. Wiedząc, jak ty jesteś dobrą i posłuszną, kazałam postawić twoje łóżeczko przy mojem, i położę cię teraz, ażebyś sobie wypoczęła, bo pewno bardzo jesteś zmęczoną po dzisiejszem utrudzeniu.

Rozalia dziwiła się bardzo, dla czego jej przybrana matka nie wspomniała jej nic dziś rano o swej dalekiej podróży, ale uwierzyła jednakże słowom poważnej matrony, która się zawsze tak czule i uprzejmie z nią obchodziła, i lubo łzy gorące płynęły po jej licach, zasnęła wkrótce snem spokojnym; a po jej miłym uśmiechu widać było, iż senne marzenia lubo obrazy przedstawiały jej duszy.

— Biedne dziecię, — rzekła pani d'Aubigny, patrząc na uśmiechającą się we śnie dziewczynkę, — cóż się z tobą stanie, jeżeli i mnie nieubłagany los dosięgnie! Gdy i ja, jak tyle innych, będę musiała iść na rusztowanie? Któż zajmie się tobą, kiedy te wszystkie zacne niewiasty, które się tu znajdują i któreby cię nie opuściły, ulegną także pod ciosa-

mi wrogów? Któż cię będzie bronił, któż będzie czuwał nad tobą? — To mówiąc, pochyliła się nad łóżeczkiem dziewczynki, która we śnie zaczęła się poruszać niespokojnie i jakby za odpowiedź na ostatnie słowa baronowej, wymówiła wyraźnie słowo „Bóg.“ Pani d’Aubigny zadrżała, i promień radości zabłysł na jej zwiędłej twarzy. — Niewinny aniele! — rzekła, — ty wymówiłaś proroczym duchem to słowo! Tak, Bóg wszechmocny będzie twoim litościwym obrońcą i wybawcą. Jego opiece polecam cię, ty biedna sieroto w obcym kraju; on będzie nad tobą czuwał, gdy ja cię opuścić będę musiała; On cię zaprowadzi swojemi niepojętymi drogami do twojej rodziny, która teraz z boleścią w sercu troszczy się o ciebie. Panie! — zawołała, podnosząc uroczyście oczy i ręce ku niebu, — Twoje drogi wiodą przez ciemności do światła; dla mnie, znekanej życiem niewiasty, błyszczą nadzieja po tamtej stronie grobu, temu dziecięciu uśmiecha się życie ze swemi uciechami, kwiatami i słońcem, dla których tak łatwo zapominają się kłócia ciernia i głogów tej ziemskiej wędrówki!



Po krótkiej, lecz gorliwej modlitwie, udała się pani d'Aubigny na spoczynek, i wkrótce panowało w tych ciemnych miejscach głębokie milczenie, przerywane jedynie westchnieniami tych biednych więźni, którym sen nie przyniósł był jeszcze pociechy i zapomnienia boleści.

Lampa, zawieszona u sufitu rzucała blade promienia na te zwiędłe, troskami zorane oblicza, pomiędzy któremi Rozalii świeża twarzyczka błyszczała jak gwiazdka pokoju i nadziei! Ale nakoniec zagasły ostatnie promienia lampy, gruba powłoka ciemności opanowała to miejsce, i po mocnym i równym oddechu biednych uwieczonych poznać było można, że sen przyniósł pociechę nieszczęsnym ofiarom zjadłości i zemsty.

Nazajutrz i dni następujących dopytywała się jeszcze Rózia często o swą przybraną matkę, ale łagodne i spokojne obchodzenie się z nią pani d'Aubigny, wzbudzało w niej większe zaufanie i szacunek, niżeli żywe i często nieco porywcze postępowanie pani Tressan. Ta biedna, młoda kobieta, jak tyle jej równych zaprowadzoną została na rusztowanie, bez dozwolenia jej jakiegokolwiek obrony.

Jej przyjaciele, na których tyle liczyła, nie śmieli nawet wstawić się za nią, bo wtenczas był już konwent narodowy zupełnie stracił swe znaczenie; więc poprowadzono nieszczęśliwą markizę od sądu rewolucyjnego prosto na plac Greve pod gilotynę, nie pozwalając jej ani na chwilę wstąpić do więzienia, by pożegnać mogła oddaną jej opiece sierotę. Ale to już tak było zwykłym, że kto był powołanym przed sąd rewolucyjny, nie powracał więcej do więzienia, iż pani d'Aubigny postanowiła natychmiast zająć się małą sierotą, gdyby pani Berlot w istocie miała ją do więzienia przyprowadzić napowrót. Widzieliśmy, z jaką dobrocią i czułością wykonywała to postanowienie.

Stara pani d'Aubigny miała dwie wnuczki, które zawczasu z rodzicami dostały się do Niemiec, zanim jeszcze pochodnia rewolucyi rozszerzyła swoje niszczące pożary. Młodsza z nich była zupełnie w wieku Rozalii; a przypomnienie jej uczyniło to dziecko tak drogiem starej matronie, iż powzięła najczulsze dlań przywiązanie, i co z początku czyniła tylko z powinności chrześcijańskiej, stało się później najczulszem uczuciem jej serca.

I Rozalia przywykła prędko do swojej nowej opiekunki, a lubo często myślała o swojej ukochanej matce i z tęsknotą oczekiwała przyobiecanego jej powrotu, wspomnienie pani Tressan, pod której opieką krótki czas tylko była, zacierało się coraz bardziej w jej pamięci.

Pani d'Aubigny, nie mając żadnych innych środków, starała się przez nauczające powieści lub rozmowy objaśniać rozum sieroty, a przez wzbudzenie uczuć religijnych kształcić młode jej serce. Miała ona sobie za powinność utrzymać pamięć straconej matki w sercu dziecicy, i dla tego nie starała się myśli jej na inne zwracać przedmioty, gdy Rozalia zaczęła mówić o matce, jak to zwykle pani Tressan czyniła, ale owszem sama wzniewała często o niej rozmowę.

— Twoja matka jest nad wszelkie pojęcia w pięknym miejscu, — rzekła pewnego razu, gdy dziecko z tęsknotą zapytało się, kiedy do niej powróci. — Jest ona szczęśliwa i my wkrótce będziemy dzieliły jej szczęście; bo jeżeli cierpliwie zniesiesz ten czas rozłączenia i będziesz dobrą i posłuszną, to pojedziemy za nią i złączymy się z nią na wieki w owej

pięknej krainie, gdzie nie masz boleści ani rozłączenia!

— Ale kiedyż pojedziemy tam? — pytało dziecię niecierpliwie.

Baronowa westchnęła i rzekła: — Ja pewnie prędzej udam się w tę daleką drogę, ale ty pójdiesz za mną kiedyś, chociaż może po długim czasie.

— I przy kimże zostanę, któż będzie miał o mnie staranie, gdy i ty odjedziesz, babuniu? — zawołała Rózia.

Pani d'Aubigny była bardzo wzruszona. — Twój ojciec w niebiesiech będzie cię miał w swej opiece, — rzekła.

— Miałżeby on i o mnie, małej dziecinie, mieć staranie, kiedy on ma tyle światów do zarządzania, — rzekła dziewczynka.

— Bóg jest wszechmocny i wszystko wiedzący, a bez jego woli nie spadnie ani włoszek z naszej głowy — odpowiedziała baronowa. — On lituje się nad sierotami i opuszczonymi, i będzie o tobie pamiętał, gdy ja już nie będę się mogła tobą opiekować!

Mówiła dalej dziewczynce o łasce, miłości, litości i wszechmocności Boga, i starała się coraz bardziej wpajać w mło-



dą duszę Rózi zaufanie do Najwyższego Ojca w niebiesiech. Codziennie powtarzała podobne rozmowy i uważała z radością, iż umysł dziecka przyzwyczajając się coraz bardziej do pocieszającej wiary w nieśmiertelność duszy i złączenie się po śmierci, i że mocno wierzyła w opiekę Tego, który rządzi losami ludzkiemi i prowadzi nas przez nędzę i śmierć do wiecznej szczęśliwości królestwa niebieskiego. Tak przeszło kilka miesięcy. Pani d'Aubigny zaczęła już mieć nadzieję, że będzie mogła powrócić do swojej rodziny, w której umocniły ją jeszcze kilka uwolnień osób z wysokiego stanu; gdy nagle krwawy trybunał powołał kilkanaście ofiar, a pomiędzy niemi znajdowało się także jej imię.

Lubo zacna pani d'Aubigny dawno już przewidywała ten wyrok, była jednakże mocno wzruszona, gdy ta okropna chwila nadeszła. Powzięta nadzieja życia zmiękczyła ją i ze łzami w oku uściśkała Rózię, mówiąc drżącym głosem: — Moje drogie dziecko, i ja muszę cię opuścić, ale Bóg, ojciec nasz w niebiesiech, nie opuści cię nigdy, tak jak i mnie doda odwagi, by z poddaniem się jego woli

uczynić ten krok okropny, który mnie czeka! Idę do niego, gdzie już matka twoja i ojciec twój się znajdują, a gdzie i ty przybędziesz kiedyś! Dla tego nie płacz i nie trać nadziei, ale ufaj w łaskę Jego, która cię znów złączy z nami.

— Naprzód obywatelko! — zawołał gwardzista narodowy — panowie z trybunału rewolucyi niezwyczajni czekać!

Pani d'Aubigny położyła raz jeszcze rękę, błogosławiąc, na głowie Rózi, poczem opuściła więzienie.

Od tego czasu nie miała już Rózia wyłącznej opieki pomiędzy paniami znajdującymi się w więzieniu. Zdawało się też, że nie potrzebuje już takowej od śmierci pani d'Aubigny. Była bowiem grzeczną, posłuszną dla wszystkich pań, a one były również dobre i uprzejme dla niej.

Często siedziała spokojna w kąciku więzienia, lecz wyraz jej twarzy okazywał, że dusza jej nie spoczywa, ale przeciwnie zajęta mocno jakimś przedmiotem. Powtarzała ona sobie w myśli, co jej babcunia d'Aubigny o nieśmiertelności duszy i przyszłym życiu opowiadała, a jej wyobraźnia przedstawiała jej żywo pię-

kną matkę i szlchetnego ojca, którego ledwie zaznała. Bawiła się wtenczas w myśli z aniołami o złotych skrzydłach i cudnych różanych licach, a jej miła twarzyczka podobna była do nich w tych chwilach.

Więźniowie spoglądali wtedy z uwielbieniem na piękne, ciche dziecko, które opuszczone od wszystkich, znalazło spokojność w swem sercu, zapominając na chwilę o swoim osamotnieniu.

Chętnie byłyby te szlchetne niewiasty opiekowały się z macierzyńską miłością małą sierotą, jednakże los nieubłagany wydzierał jedną po drugiej. Każdy dzień powoływał nowe ofiary, a nowych sprowadzał więźniów. Terroryzm dosięgnął najwyższego szczytu. Codziennie upadało 50 do 60 głów pod gilotyną. Członkowie tego okropnego systemu przybrali za herb na pieczęciach gilotynę. Policya rozkazywała podczas paузów w teatrze śpiewać pochwały temu zabójczemu narzędziu. Skazując na stracenie urągali się jeszcze ci barbarzyńcy z tych, którym życie odbierali; bo kiedy pod mieczem katowskim upadła szlchetna głowa ich króla, dano w kilka dni

potem na maryonetkach widowisko, gdzie na małej gilotynie ucinano głowę arlekinowi.

Robespierre tymczasem w konwencie narodowym wymówił słowo za bóstwem, i uznał byt najwyższej istoty. Uroczystość na cześć tego bóstwa, naznaczoną była na dzień 8my czerwca. Już o 5ej z rana dał się słyszeć odgłos bębnow po całym Paryżu. Domy przybrane były w kwiaty i chorągwie, i rozmaite oddziały zgromadzały się wcześniej. Wszystka młodzież, 14 do 18 lat licząca, była pod bronią; każdy oddział stanowił czworobok i w środku jego znajdowała się chorągiew. Mężczyźni nieśli w ręku gałązki dębowe, kobiety zameżne wiązki z róż, a dziewice koszyki z kwiatami. Niewiasty i dziewice były przybrane w białe szaty i kwiaty we włosach.

O ósmej godzinie przybył ten konwój świąteczny do ogrodu narodowego — tak zwano ogród tuleryjski — gdzie był zbudowany amfiteatr, na którym się znajdował obraz ateizmu, wsparty na obrazach dumy, samolubstwa, niezgody i fałszywej prostoty. Członkowie konwentu narodowego zeszli na dół, Robes-



pierre miał mowę, potem zapalił obraz ateizmu, a z ogarniających go płomieni ukazał się obraz mądrości, zczerniały wprawdzie znacznie od dymu!

Potem udał się cały ten pociąg na pole marsowe, gdzie odśpiewano hymn na cześć bóstwa, po którym nastąpiły różne śpiewy republikańskie i symfonie na rozmaitych instrumentach wykonane.

Nakoniec było powszechne poruszenie; rzucono kwiaty, podnoszono dzieci do góry, wyciągano pałasze z pochew i składano głośne przysięgi wolności i bóstwu najwyższemu. Huk armat grzmiał dokoła, a oblicze Robespiera jaśniało radością, bo cała ta uroczystość odpowiadała jego życzeniom.

Ale i na całą ludność zrobiła ta uroczystość wielkie wrażenie i jutrzienka nadziei zabłysła nawet do ciemnych więzień, bo myśl, że kiedy najwyższa istność, a więc sędzia czynności ludzkich, został uznany, wzniecała nadzieję, iż osiągną sprawiedliwość i bramy więzienia będą im otworzone. Ale długo jeszcze nieszczęśliwe ofiary musiały oczekiwać swego oswobodzenia, a rozlew krwi niewinnej trwał ciągle. Nawet kiedy 12-go

lipca Robespierre odebrał zasłużoną karę i głowa jego spadła z tej gilotyny, na którą tyle niewinnych skazał osób, wtenczas panujący system postrachu nie ustawał jeszcze i dopiero 5-go sierpnia wydany był rozkaz przez konwent narodowy, upoważniający sąd bezpieczeństwa, by wszyscy obywatele, którzy nie byli sądzeni podług praw wydanych 17-go września, na wolność wypuszczeni zostali. I przez zbytnią łagodność, naturalną antytezę przeszłej srogości, wypuszczeni byli na wolność przyjaciele i nieprzyjaciele rzeczypospolitej i pospieszali w objęcia oczekujących ich z tęsknotą przyjaciół i krewnych.

I bramy Conciergerie otworzyły się, a z lęklwym pośpiechem opuszczał każdy okropny swój pobyt.

Postanowienie konwentu narodowego mogło znów być zmienione, jak to już kilka razy się stało, każda chwila opóźnienia mogła przynieść nowe nieszczęście, wszyscy więc cisnęli się na wolność, na świeże powietrze, za którym tak byli stęsknieni. W tem wzburzeniu uczuć zapomniał każdy o owej cudzoziemskiej sierocie, która ich więzienie dzieliła.

Prawie każda z znajdujących się tam niewiast miała swe dzieci, rodziców lub krewnych, do których spieszyła; tak więc przez znajdujące się prawie w każdym człowieku samolubstwo, została zapomniana mała dziewczynka, która z niemem podziwieniem patrzyła na to do ucieczki podobne wynoszenie się wszystkich współwięźniów. Lękliwie spoglądała wokoło, lecz żadna przyjacielska ręka nie uchwyciła jej dłoni, nikt nie zawołał jej ze sobą i wkrótce ujrzała się samą w tych okropnych miejscach, a przerażenie jej wzmagало się coraz bardziej, gdy się już ciemnieć zaczynało, a dozórca nie przychodził zaświecać lampy.

Pełna trwogi biedna Rózia odważyła się przestąpić próg, ale spojrzawszy do sieni, powróciła spiesznie w znajomy jej przynajmniej głąb więzienia. Długie, ciemne, na wszystkie strony rozchodzące się kurytarze, ujrzała przed sobą; jakżeż mogła trafić do wyjścia, ona, które je raz jedyny na rękę pani Berlot przebywała. Pozostała więc w więzieniu, a lubo głód poczynał jej dokuczać, nie śmiała wołać, ani też szukać około siebie, czy który z więźniów nie pozostawił kawałka chleba

lub trochę owocu. W tym strachu przyszedłszy jej na myśl słowa babuni d'Aubigny, które ją z takim przekonaniem zapewniały o pomocy i opiece Ojca w niebieskich, a tem uspokojona położyła się na swe posłanie, złożyła rączki do modlitwy i błagała Boga, by się nad nią zlitował i zawiódł ją do jej matki i babki d'Aubigny. Niebieska pociecha zlała się po tej modlitwie w serce tej młodej, opuszczonej istoty; jej powieki skleiły się a we śnie spokojnym zapomniawszy na chwilę swych cierpień i dostała się do owych pięknych niebios, gdzie ją jej piękna matka powitała.

Nazajutrz rano, gdy się Rozalia obudziła, błyszczał już dzień jasny przez kraty małych okien więzienia. Jeszcze snem rozmarzona, patrzyła wokoło siebie, dziwiąc się niezwyklej cichości. Wstała po cichu, by nie przebudzić śpiących, i przybliżyła się do łóżka jednej młodej niewiasty, która się z nią najczęściej bawiła. Dziewczynka spięła się na palcach, by zobaczyć, czy pani Duval śpi jeszcze, lecz łóżko było próżne; i w innych nie znalazła nikogo. Na ten widok przypomniały się dziecku wczorajsze



zdarzenia i pełna strachu wybiegła znowu na kurytarz, by błagać kogo z przechodzących o pomoc i ratunek. Ale w tych długich ciemnych kurytarzach panowało dzisiaj jeszcze posepniejsze milczenie i samotność, niż wczoraj, gdy się jeszcze odgłos kroków za odchodzącymi rozlegał w oddaleniu. Teraz było w Conciergerie cicho jak w grobie. Nie było nawet słyszeć monotonnego stąpania straży, bo gdzie nie było więźniów, tam i straż była zbyteczna. Rozalia odważyła się postąpić nieco dalej w głąb kurytarza, lecz gdy ten dalej krzyżował się i w rozmaite strony prowadził, zatrzymała się znowu, nie wiedząc, dokąd się udać miała. Nakoniec zaczęła wołać głośno i coraz głośniej, lecz tylko smutne echo odpowiadało na jej wołanie, tak przenikliwie, iż powróciła do swego więzienia ze strachem i postanowiła czekać aż nadejdzie pan Renard. Lecz jedna godzina po drugiej upływała, a upragniony dozorca nie nadchodził. Południe minęło; biedna dziewczynka, dręczona głodem, rzuciła się z płaczem na posłanie. Od dwudziestu czterech godzin nie miała już nic w ustach, czuła się więc

tak słabą, iż nie mogła się już podnieść z posłania; a choćby też i wyjść była mogła, gdzież się miała udać? kogóż miała błagać o pomoc? Była zupełnie nieznaną w tym wielkim Paryżu, nie wiedziała ani nazwiska ulic, ani pomieszkania dam, które wczoraj jeszcze były z nią razem w więzieniu. W tym śmiertelnym strachu przypomniła sobie znowu słowa pani d'Aubigny: „Mamy wspólnego Ojca, a ten zlituje się nad tobą, bo on jest ojcem opuszczonych i sierot;“ a złożywszy ręce modliła się gorąco: „Ojcze nasz, który jesteś w niebiesiech, zlituj się nademną i nie daj umrzeć mi z głodu.“ I jak gdyby te błagania niewinnego dziecięcia doszły były szybko do tronu Wszechmocnego Boga, dało się w tej chwili słyszeć ciche stąpanie na kurytarzu, które się coraz bardziej zbliżało. Była to pani Berlot. Przyniosłszy swemu krewnemu świeżą bieliznę, wiedziona jakimś dziwnem przecuciem, poszła odwiedzić opuszczone więzienie. Już miała powracać, kiedy jęk cichy uderzył jej ucho. „Mój Boże,“ pomyślała dobroduszna kobieta, „czy tu pozostawiono jakiego chorego, który musi nędznie umie-

rać w tem opuszczeniu? Brat Renard był wczoraj tak napiły, iż zapomniał nawet wyczyścić i zamknąć więzienia, nie przyszło mu zapewne do głowy przyjść tutaj i zobaczyć, czy kto nie pozostał przypadkiem.“ Tak mówiąc sama do siebie, litościwa niewiasta, szła za głosem cichego jęku, który ją zawiódł do więzienia kobiet, gdzie dawniej zwykle bieliznę nosiła. Z ciemnego kącika wychodziły skargi boleści; zbliżywszy się spiesznie, ujrzała pani Berlot z niewypowiedzianem przerażeniem małą Rozalię, leżącą bezwładnie na posłaniu, słabe tylko jeszcze wydającą jęki.

— Rózia! moje dziecię! — zawołała praczka, — czy jesteś chora? Cóż tu robisz tak sama?”

— O kochana pani Berlot, — rzekła dziewczynka konającym głosem, — daj mi chleba, proszę, proszę, umieram z głodu.

Praczka wyjęła z kieszeni kawałek chleba, mówiąc: — Dzięki Bogu, mam jeszcze mój podwieczorek, który wzięłam ze sobą, nie mogąc powrócić do domu. Weźmij go dziecię i jedz, ja doczekam do wieczora.

Prędko schwyciła dziewczynka podany jej kawałek chleba, a najwykwintniejsze potrawy nie smakowały jej tak jeszcze nigdy.

Gdy się nasyciła i okiem pełnym wdzięczności spoglądała na praczkę, ta rzekła z współuczuciem: — Lecz gdzie cię teraz mam zaprowadzić, moje dziecko?

Różia wejrzała na nią z podziwieniem i odpowiedziała: — Nie wiem tego, dobra pani Berlot; nie znam nikogo w Paryżu.

Twoja matka była przecież z wysokiego urodzenia, bywało u niej zapewne wiele gości, musiałaś tedy znać kogo?

— O tak, — odpowiedziała Różia, — przychodziło do mamy wiele bogatych pań i panów, lecz nie pamiętam ich nazwisk.

— To źle, — rzekła praczka, — ale chociaż twoja matka była cudzoziemką, masz może jeszcze jakich krewnych w Paryżu?

— Nie słyszałam nigdy o tem—odpowiedziała Różia. — Goście, którzy bywali u mamy, nazywali ją zwykle księżną, a nazwisko jej, które już zapomniałam, brzmiało zupełnie inaczej niż tych pań,



które były z nami w więzieniu. Mama mówiła też ze mną zwykle w innym języku, nie w francuskim, lecz od czasu gdy odjechała, nie słyszałam już nigdy tej mowy.

— I ty jej już nie pamiętasz?—spytała praczka.

Mała wymówiła kilka słów.

— To jest mi zupełnie niezrozumiałem, — rzekła pani Berlot. — Ale cóż teraz pocniemy? Czy cię zaprowadzić do pana Reinard?

— O na Boga, nie do pana Reinard! — zawołała dziewczynka. — On zawsze taki mrukliwy, i popchnął mnie już kilka razy.

— Ale cóż mam zrobić z tobą? — rzekła pani Berlot z namysłem. — Muszę cię więc zaprowadzić do domu sierót, jeżeli nie chcesz iść do pana Reinard, któryby cię tam także bez wątpienia zaprowadził.

— Czy nie mogłabym zostać u ciebie, dobra pani Berlot, — spytała bojaźliwie dziewczynka.

— U mnie? — odpowie z zadziwieniem pani Berlot. — Ja zaledwo wystarczę chlebem dla moich pięcioro dzieci.

— O kochana pani Berlot, — prosiło dziecko, — weź mnie do siebie, będę bardzo grzeczną i pilną, i obiecuję jeść jak najmniej chleba; ale proszę weź mnie ze sobą, bardzo cię proszę.

Łzy wzruszenia stanęły na te słowa w oczach uczciwej kobiety. — Gdzie żyje sześcioro, używi się też i siódmy, — rzekła nakoniec. — Zdaje się, iż pan Bóg zesłał mnie na ratunek temu dziecku, bo skądże przyszło mi na myśl, obejrzeć raz jeszcze więzienie, które przecież znałam tak dobrze. Dobry czyn zostanie zawsze wynagrodzonym. Może znajdą się krewni tego dziecięcia: a choćby się też to nie stało, nie będę żałowała podzielić chleba moich dzieci z tą sierotą. Nie będzie mnie to kosztowało, jak codziennie godzinę pracy więcej. — Różia, — rzekła głośniej, — jeżeli zawsze będziesz grzeczną i pilną, wezmę cię do siebie; będziesz mieszkała u mnie, będę ci matką, a Anna i Fryderyk rodzeństwem, i będziesz się nazywała Rózią Berlot, jak gdybyś była moją własną córką.

Z uszanowaniem pocałowała młoda księżniczka spracowaną rękę praczki, i obiecała być zawsze pilną i posłuszną;

poczem opuściła prowadzona przez swą przybraną matkę ciemne i ponure sklepienia więzienia, gdzie przeszło rok spędziła.

Anna Berlot bardzo się cieszyła z swej przybranej siostry, a mały Fryderyk nie posiadał się z radości; gdyż od czasu jak starszy brat Adolf zaczął uczęszczać do szkoły, nudził się często w domu, bo mała Stasia nie mogła się jeszcze z nim bawić, spodziewał się więc w Rózi znaleźć stósowną towarzyszkę.

— Będziemy się zawsze razem bawili Rózio, — zawołał radośnie, kiedy pani Berlot oznajmiła, że zostanie u nich na zawsze.

— Zapewne Fryderyku, zawsze się będę z tobą bawiła, skoro nie będę potrzebna mamie, — odpowiedziała mu Rózia. A ta odpowiedź podobała się nadzwyczajnie pani Berlot.

Od tej chwili usiłowała Rózia być użyteczną swej dobrodziejce, o ile to jej słabe siły zezwalały; bo pomimo tego, że nie umiała się tak zręcznie obchodzić z dużem żelazkiem, jak Anusia, która musiała często prasować, gdy było wiele bielizny, to podniecała przynajmniej o-

gień, zносиła drzewo, lub układała swemi delikatnemi palcami koronki i tuliki z taką zgrabnością, iż pani Berlot często-kroć nie mogła zataić swego podziwienia i zadowolenia. Spamiętała sobie też tak doskonale pomieszkania w mieście, dokąd odnosiła bieliznę z panią Berlot, iż wkrótce mogła sama z koszyczkiem pięknie wyprasowanej bielizny udawać się w te miejsca, co dobrej pracze wiele czasu oszczędzało. Biednym każda chwila jest drogą, tak więc Różia stała się wkrótce bardzo użyteczną swojej dobrodziejce.

— Pan Bóg zesłał to dzieckc widocznie na szczęście do mojego domu,—mówiła często do jednej z swoich kumoszek. Nietylko bawi się z młodszemi z anielską cierpliwością, ale nadto staje mi się bardzo użyteczną, odnoszeniem bielizny do wielu domów, gdziebym musiała iść sama, bo moja Anusia nie umie się znaleźć tak dobrze w rozległym Paryżu, jak to dziecko, które się zdaje być tak bojaźliwe, a przecież jest tak rozsądnem. Doprawdy żałowałabym bardzo, gdybym musiała znów oddać to kochane dziecko. Ale niech mnie Bóg broni od samolubstwa, ażebym sobie miała przywłaszczyć cudze dobro.



Odstąpiłabym bez szemrania moją kochaną Rózię, gdyby jej Pan Bóg zesłał jakiego krewnego lub opiekuna!

— Lecz niewieszże istotnie, kto byli rodzice tego dziecka? — zapytała ciekawie kumoszka.

— Nie wiem tego, — odpowiedziała pani Berlot, zarumieniwszy się trochę, bo wstydziała się nieprawdy, którą wymawiała, a przecież nie chciała się przyznać, iż przechowuje w domu swym dziecię książeńce, z bojaźni, by zagorzali republikanie, do których także mąż onej kumoszki należał, nie poczytali jej tego za zbrodnię. Starła się więc utrzymać ich w tem mniemaniu, jakoby Rózia była dzieckiem biednych ludzi, aby tak ująć wszelkiemu podejrzeniu dla siebie i swej rodziny. Że mała dziewczynka nie wyda się z swoim urodzeniem, była zapewniona, częścią przez to, że Rózia zapomniała była zupełnie swoje nazwisko, częścią, że ona nie uczyniła nigdy nic, co jej zakazano, i słyszała już często w więzieniu, że jest bardzo niebezpiecznie być księżniczką, co jej też pani Berlot często powtarzała. Dobra kobieta w swojej prostocie nie pomyślała o tem, że przez

to dziewczynka pozbawiona była wszelkiej sposobności odkrycia swojej rodziny, ale mając mocną wiarę, której obłądy owych czasów wstrząsnąć nie zdołały, spodziewała się, iż Pan Bóg znajdzie już drogi i środki, przez które pomimo wszelkich przeciwności, doprowadzi biedną sierotę do jej krewnych.

Tak mijały tygodnie, miesiące, a nawet i dwa lata już były upływały, jak Rózia zostawała w domu praczki; a okropne obrazy przeszłości zaczęły się już zacierać w wyobraźni dziecka.

Możeby niedługo sama była zaczęła mieć się za córkę praczki, gdyby w trzecim roku jej pobytu u swej opiekunki, nowe zdarzenie nie było niespodziewanie wzbudziło dawne przypomnienia w jej duszy i dało zupełnie nowy kierunek jej życiu.

---

Hrabia Rzewuski, rozmówiwszy się z Katarzyną, pobiegł do żony, by jej oznajmić, co się o siostrze swej dowiedział, i powiedział jej, iż zamyśla wyjechać natychmiast do Paryża, by osobiście śledzić, co się z nią stało. Lecz nie spodziewał się wcale oporu, jaki znalazł w

swej żonie. Rozpływając się bowiem w łzach, załamując ręce z rozpaczą, błagała go ona, by się w tak widoczne nie rzucił niebezpieczeństwo.

— Cóż możesz uczynić więcej, — mówiła hrabina, — jak twój przyjaciel, który od tylu lat żyje w Paryżu, i zna wszystkie środki do osiągnięcia tego celu, daleko lepiej od ciebie! Chceszże koniecznie poświęcić tve życie tej bezskutecznej szlachetności! Chceszże dostać się pod moc ludzi, którym nic nie ma świętego, którzy zdeptali wszelkie prawa narodowości i własności, którzy wykonywają te same okrucieństwa na niewinnych cudzoziemcach, jak na swych nieszczęśliwych ziomkach? Twojej siostrze nic pomódz nie zdołasz, a mnie uczynisz wdową i sierotami tve dzieci!

Wzruszony takimi skargami, obiecał hrabia inne jeszcze przedsięwziąć kroki, by przez przyjaciół w Paryżu dowiedzieć się o zniknionej siostrze i jej dziecku. Uznał bowiem, iż obawy hrabiny nie były płonne i przez różne smutne doświadczenia ugruntowane. Wiele Anglików i innych cudzoziemców z wysokiego stanu, którzy nie mieli żadnych

politycznych związków, byli uwięzieni i na rusztowanie zaprowadzeni. Podobny los mógł spotkać hrabiego, a jego siostra nie byłaby jednakże ocaloną. Powinności przeto jego, jako męża i ojca nakazywały mu pozostać przy swojej rodzinie. Napisał więc powtórnie do swego przyjaciela, by nie szczędził pieniędzy i podarunków dla uwolnienia księżnej. Przedsięwziął jednakże, że jeżeli i to będzie bezskutecznem, narażając się na wszelkie niebezpieczeństwa udać się do Paryża. Lecz nim hrabia otrzymał odpowiedź od swego przyjaciela, został w ważnych sprawach politycznych swej ojczyzny wysłany w poselstwie do obcych krajów, gdzie długi czas bawić był zmuszony. Był więc przez to pozbawiony wszelkiej możebności dowiadywania się o losie swej nieszczęśliwej siostry. Opuszczając Polskę, spodziewał się hrabia powrócić w kilku miesiącach do swej rodziny, ale poselstwo trwało daleko dłużej, niżeli się spodziewał, a gdy je nakoniec z wielkiem zadowoleniem dla narodu ukończył, został do innego znowu kraju wysłany, z trudniejszymi jeszcze do wykonania sprawami. W innej porze byłby hrabia z radością



uczynił te usługi ojczyźnie, lecz obecnie były mu one bardzo uciążliwe, i dziękował Bogu, gdy po dwóch latach oddalenia mógł znowu do ziemi rodzinnej powrócić.

Że księżna Lubomirska została straconą na rusztowaniu, dowiedział się hrabia z listy ofiar zginionych w rewolucyi, która we wszystkich gazetach i dziennikach była umieszczoną, a jego boleść po ukochanej siostrze była nieograniczoną. Pozostawała mu tylko jeszcze nadzieja wyratowania nieszczęśliwej jej córki; za ledwie więc kilka dni wypoczął w swoim zamku, pośpieszył do Paryża, by ją odzukać. Ponieważ spokojność była już przywróconą, przeto hrabina sama nagliła teraz swego męża do tej podróży, by wyrwał swą siostrzenicę z nędzy lub okropnej niewoli. Kasia, która ciągle pozostawała w zamku hrabiego, byłaby chętnie towarzyszyła swemu panu, bo zdawało jej się, iż ona mogłaby najłatwiej wynaleść ukochaną Rózię; lecz hrabina powierzyła jej swe młodsze dziatki, dla tego nie śmiała odezwać się z swem życzeniem.

Było to w Wrześniu roku 1797, gdy hrabia przybył do Paryża. Dyrektoryat

był wtenczas na szczycie swej potęgi, a hrabia był opatrzony w listy zalecające go jego członkom. Nie stało więc nic na przeszkodzie hrabiemu w poszukiwaniu jego siostrzenicy, które rozpoczął z zapalem.

Otworzono mu dobrowolnie wszystkie więzienia, ale nigdzie nie znalazł śladu życia lub śmierci po niej. W Conciergerie, gdzie się udał najprzód, nie mógł mu nikt powiedzieć coś pewnego o jej losie; nie wiedziano już nawet nic o księżnej Lubomirskiej.

Trzy lata były upłynęły od czasu, gdy po śmierci Robespiera bramy więzienia zostały otworzone. Dozorca tego więzienia był umarł, a żona jego oddaliła się z Paryża, lecz nikt nie wiedział dokąd. Na liście straconych ofiar nie było także nigdzie wzmianki o dziecku księżnej Lubomirskiej.

Po długiem, bezskutecznem poszukiwaniu umieścił hrabia w gazetach i dziennikach artykuł, w którym obiecywał hojne nagrody, ktoby mu siostrzenicę jego przyprowadził.

Zgłosiło się wiele dzieci, wyratowanych z więzień, lecz po bliższem badaniu,

wykazały się zwykle umyślne oszukaństwa, lub też prawdziwe nazwiska ich rodziców. Po każdym takim omyleniu hrabia tracił coraz bardziej nadzieję osiągnięcia skutków swych życzeń. Wreszcie gdy kilka miesięcy najsumienniejszego poszukiwania upłynęły, gdy niezgody stronnictw wszczynały się na nowo, i pobyt w Paryżu stawał się coraz niebezpieczniejszym, gdy znów kilka ofiar upadło pod gilotyną, a błagalne listy hrabiny nagliły do powrotu hrabiego, zdecydował się ten nakoniec poprzestać poszukiwań swej siostrzenicy, która może już dawno była na drugim świecie.

Hrabia wydawał właśnie ostatnie rozkazy dotyczące się powrotu do ojczyzny swemu służącemu, gdy oznajmiono przybycie praczki w hotelu Grange-Bateliere, w którym hrabia mieszkał.—Niech wnidzie ta kobieta, Fedorze, — rzekł hrabia, a na znak służącego odźwierny otworzył, i kobieta skromnie, lecz porządnie ubrana, trzymając za rękę piękną dziewczynkę, weszła z ukłonem do salonu.

Dziewczynka stawiając na mały stoliczek koszyk napełniony pięknie uprasowaną bielizną, rzekła dźwięcznym gło-

sem: — Przyniosłyśmy panie Fedor kołnierzyki pana hrabiego, i spodziewam się, że zadowolnią pana, gdyż starałam się bardzo o to, żeby były piękne.

Hrabia tymczasem stał u okna i spoglądał na ulicę, ale na dźwięk głosu dziecka, zadrżał i obrócił się, by się przypatrzeć pilnej dziewczynce, która zdawała się oczekiwać pochwały służącego.

Fedor przypatrzywszy się bieliźnie badawczem okiem, rzekł pochlebnie: — Doprawdy Róziu wysadziłaś się dzisiaj, i zapewne otrzymasz obiecane karmelki i ciastka.

Hrabia zbliżył się i utkwiał wzrok badawczy w twarz dziewczynki, której szlachetne rysy i piękne włosów pierścienie, spadające na ramiona, przywoływały mu na pamięć niezatarty jeszcze obraz. To samo imię, pomyślał, a potem głaszcząc włosy dziewczynki, zapytał z wzruszeniem: Ile lat masz moje dziecko?

— Zdaje mi się, że dziewięć, — odpowiedziała Rózia, podnosząc swe modre oczy osłonięte długimi rzęsami, bez bojaźni, na obcego.

Dreszcz przeszedł hrabiego, to było oko tak rychło zmarłej siostry, a nie mo-



gąc zataić swego wzruszenia, rzekł do służącego: — Fedorze, to istotny obraz księcia Lubomirskiego, z oczami mojej siostry.

Fedor spojrział na zdziwione dziecko i zdumiony zawołał: — Mój Boże! gdzież ja miałem oczy moje, to dziecko widzę już od kilku miesięcy, a dopiero gdy pan hrabia zwrócił na to moją uwagę, spostrzegam to niezmierne podobieństwo. Ale, — dodał uniewinniając się, — rzadko widziałem księcia, a tych modrych oczków nie mógłem spostrzedz, bo zwykle spuszczone są ku ziemi.

Praczka nie rozumiejąc znaczenia tej rozmowy, postawiła koszyk z bielizną na stół, i oczekiwała spokojnie zapłaty.

Różia zląkniona, dla czego tyle uwagi na nią zwracano, tuliła się do matki.

Hrabia przybliżył się do praczki. — Jak się nazywacie, dobra kobiecino? — zapytał.

— Joanna Berlot, do usług pana hrabiego.

— Nie weźcie mi tego za złe, dobra pani Berlot, lecz wiele zależy mi na tem wiedzieć, czy ta dziewczynka jest istotnie waszem dzieckiem?

— Zapewne, że jest mojem dzieckiem, — odpowie z żywością pani Berlot, — jeżeli miłość i staranie macierzyńskie nadają prawo do nazywania dziecka swoim własnem. Jestem biedną kobietą, która żyje z pracy rąk swoich; mam pięcioro własnych dzieci, lecz od trzech lat przybrałam to dziecko i kocham je jak własne. Dla tego powiedzieć mogę, że jest mojem dzieckiem, bo bez mojej pomocy byłby ten biedny robaczek umarł z nędzy i głodu; lecz rodzoną jej matką nie jestem. Jest ona córką jednej uwiezionej w Conciergerie, która choć cudzoziemka, padła ofiarą gilotyny. Nazwiska tej pani nie umiem panu hrabiemu powiedzieć, Rózia zapomniała je także, lecz brzmiało ono wcale inaczej, jak nazwiska francuzkie. Zwykle nazywano ją księżną.

— Nie masz żadnego wątpienia, — zawołał hrabia przechadzając się niespokojnie po salonie, — lecz zrobię jeszcze jedną próbę, gdyż boleśnie byłoby zawieść się jeszcze tą razą.

Stanął przed dzieckiem, a spoglądając na nią bacznie, rzekł kilka słów w polskim języku. Dziewczynka zadrżała, puściła rękę matki, którą wprzódy w

obawie uchwyciła, i pobiegła do hrabiego wołając z płaczem: — O ja cię rozumiem panie, tak mówiła moja mama!

Hrabia schylił się do swej siostrzenicy, by ją uściskać, lecz namyślił się jeszcze. Pobiegł do bióreczka, a wydając z eleganckiego pudełka mały obrazek oprawiony w złote ramy i wysadzany brylantami, — niech to będzie, ostatnia próba, — zawołał sam do siebie; — jeżeli go pozna, nie potrzebuję już wątpić, że cudowna ręka Najwyższego przyprowadziła mi skarb, którego tak długo daremnie szukałem.

— Czy znasz ten obrazek Róziu? — zapytał, pokazując jej miniaturę.

Dziecię rzuciwszy zaledwie okiem nań, zawołało głośno, płacząc: — To moja mama, moja piękna mama!

Hrabia w najwyższej radości przycisnął do serca dziecię swej ukochanej siostry. — Jestem twoim wujem, drogie dziecię! — zawołał. — Jestem bratem twej okrutnie straconej matki. Już od kilku miesięcy szukam ciebie, a przyjaciele moi szukają cię już od lat kilku w rozległym Paryżu, i zamyślałem już opuścić to miasto, nie znalazłszy ciebie, kiedy Bóg

litościwy w ostatniej prawie chwili przyprowadził cię do mnie!

Łzy stłumiły tu głos hrabiego, a pan Fedor ocierał sobie bardzo wiele znacząco raz w raz chustką swe szare oczy. Pani Berlot płakała głośno, zasłaniając fartuchem oczy i narzekała wśród płaczu: — Ach, myślałam sobie zawsze, że będę musiała oddać tego aniołka, za którym będę tęskniła, pomimo mych pięcioro dzieci.

Rozalia pospieszyła do niej, i rzekła słodkim głosem: — Mamo Berlot, mammo Berlot, nie płacz tak bardzo, Różia cię nie opuści, pojedziecie wszyscy ze mną, Anna, Fryderyk, Adolf i te małe dzieci. Wujaszek jest tak dobry, on przystanie pewno na moje prośby; i ty także kochana mammo Berlot nie będziesz chciała opuścić twej Rózi!

— Pani Berlot, — rzekł łaskawie hrabia, — pan Bóg mówi przez usta tego dziecka; podzielałaś tak ciężko zapracowany chleb z siostrzenicą moją, która byłaby umarła bez twojej dobroczynności, mojem więc będzie odtąd staranie o przyszłość waszą i dzieci waszych.

— Fedorze, — rzekł, obracając się do



służącego, — obstaluj pomieszkanie tu w hotelu dla pani Berlot i jej rodziny; jeszcze dzisiaj życzę sobie widzieć dobrodziejkę siostrzenicy mojej pod jednym dachem ze mną.

Pani Berlot opierała się z początku temu, ale radość Rózi, iż będzie mogła być przy swoim dobrym wujaszku i kochanej mamie Berlot, zmusiła ją prędko do przystania na życzenie hrabiego.

Szczęśliwa przyszłość dla dzieci była najważniejszą przyczyną tego, iż przystała nawet na opuszczenie swej kochanej ojczyzny. Będąc od dwóch lat wdową, było jej bardzo trudno i niemożebnością prawie używić tak liczną rodzinę. Była wprawdzie czerstwą i zdrową, i nieobawiała się żadnej pracy, ale gdyby choroba rzuciła ją na łożo? któż byłby się troszczył o jej pięcioro sierot, z których najstarsza Zofia zaledwie trzynaście lat liczyła, a Jan urodził się kilka miesięcy przed śmiercią ojca.

Te rozważki sprawiły, iż bez wielkich trudności dała się nakłonić do opuszczenia Francyi i udania się z swą przybraną córką, z kochaną Rózią i pięciorga dziećmi, do dalekiej Polski.

— Będę się z tą samą sumiennością opiekował wami i waszą rodziną, dobra pani Berlot, — rzekł hrabia, opowiedziawszy jej plan swój, — jak wy opiekowaliście się moją siostrzenicą, która wam nie tylko życie, ale nawet szczęście powrócenia na łono rodziny zawdzięcza.

To mówiąc podał jej pismo, w którym jej była zapewniona pensja dożywotnia, wystarczająca na wszelkie potrzeby całej rodziny. Powiedział jej także, że będzie mieszkała w pobliżu zamku, by Różia w każdej chwili mogła się bawić z swoim przybranem rodzeństwem.

— Ale moja dobra pani Berlot, — rzekł po chwili namysłu hrabia, — dla czego nie przyprowadziliście mi zaraz dziecka tego, gdy w gazetach i dziennikach zgłaszałem się o nie, kiedy teraz chętnie przyznaliście się, iż to nie jest wasze własne dziecko?

— Ach! panie hrabio, — zawołała praczka, — taka biedna kobieta jak ja, która od rana do nocy pracować musi na kawałek chleba, nie ma czasu czytać gazet lub dzienników. Gdyby mąż mój żył jeszcze, byłby się prędzej o czem dowiedział, gdyż on chodził czasem czytać ga-

zety i słyszał co się dzieje w świecie; ale ja, która przez cały tydzień nie poprzestaję prac a nawet w niedzielę nie mogę zawsze iść na mszę św., jakżebym miała czas do tego!

Słowa dobrej kobiety zniszczyły ostatnie wątpliwości hrabiego o jej poczciwości, a w kilka tygodni potem znajdował się hrabia z rodziną Berlot i swą siostrzenicą w drodze do swej ojczyzny.

Hrabina, która to wszystko z listów mężowskich wiedziała, rozkazała, podług jego życzenia, wyporządzić dla rodziny Berlot domek wygodny, opodal ogrodu zamkowego, który był dawniej pomieszkaniem ogrodowych. Przyrządzono go tak suto, z takimi wygodami, iż gdy podróżni przybyli do zamku, hrabia i hrabina zaprowadzili dobrą praczkę Berlot do jej nowej posiadłości, zawołała ta z zadziwieniem: — Wielki Boże! tu tak pięknie i wygodnie, jak w Paryżu u tych, dla których bieliznę prałam!

Hrabia i hrabina uśmiechnęli się z zadowoleniem, a Rózia uściskała wuja i całowała ręce dobrej ciotki, za tak hojne wynagrodzenie kochanej mamy Berlot. Ta ochłonawszy z pierwszego podziwie-



nia, wyrażała w najczulszych wyrazach swą radość i wdzięczność, a wszyscy byli pełni szczęścia i zadowolenia.

Radość Kasi, gdy zobaczyła ocalone dziecię, graniczyła z szaleństwem. Całowała ręce i nogi swojej młodej księżniczki, i dziękowała Bogu, iż ta przynajmniej nie padła ofiarą jej niebaczości.

Od tego czasu dzieliły francuzkie dzieci wszelkie nauki z Rózią i dziećmi hrabiostwa; a że były wszystkie bardzo utalentowane, czyniły widoczne postępy, tak iż hrabia oddał Adolfa i Fryderyka później na wszechnicę do Wilna. Ukończywszy nauki wstąpili do wojska polskiego i byli adjutantami księcia Józefa Poniatowskiego. Anna i jej siostry otrzymały także staranne wychowanie, i wyposażone przez hrabiego Rzewuskiego i Rózię, poszły za mąż za Polaków. Mały Jaś, który już z małości żył więcej na jeziorze zamkowym niżeli na ziemi, wstąpił do marynarki rosyjskiej, gdzie później został kapitanem.

Rozalia zaś, która była jedną z najbogatszych dziedziczek królestwa, opiekowała się ciągle swymi młodymi przyjaciółkami, a gdy się u nich jakakolwiek



potrzeba wkradła, dopomagała im zawsze.

Młoda księżniczka bowiem oddała bardzo wczesnie rękę swemu kuzynkowi, Kazimierzowi Rzewuskiemu, który już w dzieciństwie bronił ją zawsze przeciw swym siostram i drugim dzieciom, chociaż Rózia nie była czasem bez winy. Później uściskał z radością stary hrabia córkę swej ukochanej siostry, jako swoją synową.

Pani Berlot, podług życzenia hrabiów, miała żyć zupełnie spokojnie, ale ten spokój znudził wkrótce przywykłą do czynnego życia kobietę i życzyła sobie koniecznie, by jej powierzono jakikolwiek urząd we dworze. Hrabina nie chciała z początku przyjąć tego, by dobrodziejka jej siostrzenicy miała im służyć, pozwolono jej przecież pomagać we wszystkim służbie dworskiej, a ona umiała się znaleźć w tem tak dobrze, że wkrótce stały się nieodzownie potrzebne rady pani Berlot.

Gdy przybrane siostry Rózi powychodziły za mąż, życzyła ona sobie koniecznie, ażeby mama Berlot przybyła do niej na zamek, a gdy później staruszka siedząc pod cieniem lip rozłożystych w

ogrodzie zamkowym, kołysała na kolanach swych wnuków, lub syna Rózi, podnosząc często oczy z wdzięcznością ku niebu mawiała: — Dobry czyn częstokroć już na tej ziemi znajduje nagrodę.

KONIEC.

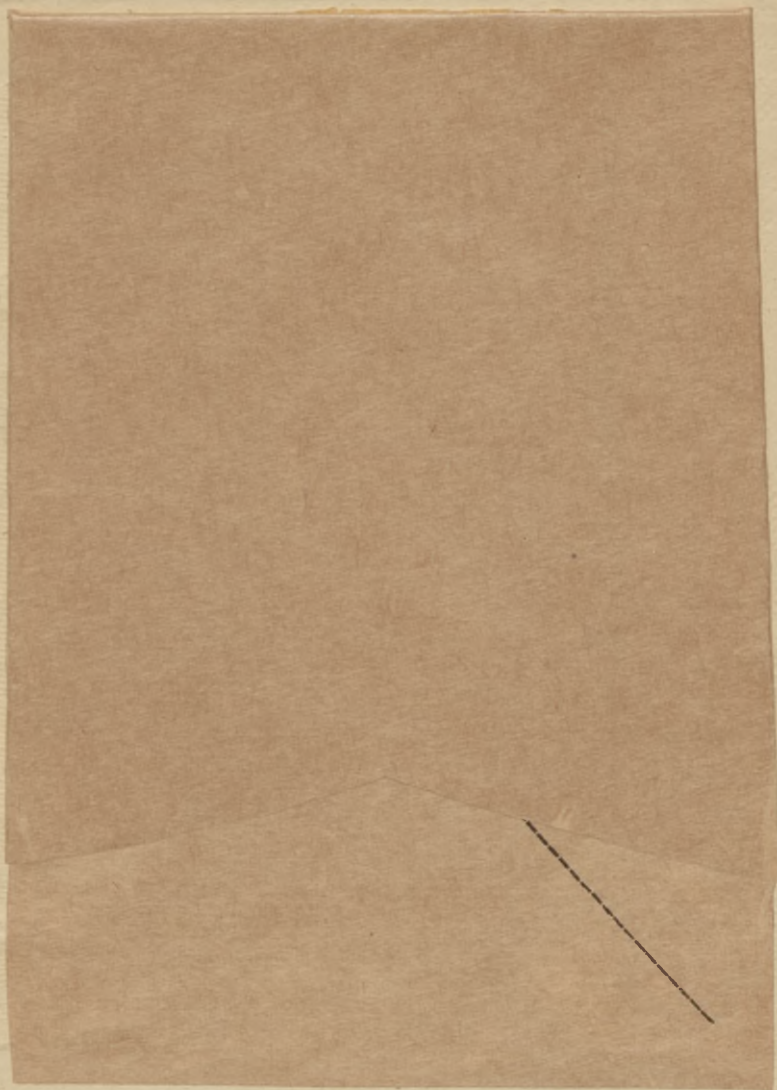




30.1

11-XVIII/19





WYŻSZA SZKOŁA  
PEDAGOGICZNA W KIELCACH  
BIBLIOTEKA  
254956

Biblioteka WSP Kielce



0048099